

MYŚL POLSKA

TYGODNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM ŻYCIA NARODOWEGO, W ZAKRESIE
POLITYCZNYM, SPOŁECZNYM, NAUKOWYM, LITERACKIM I ARTYSTYCZNYM.

Pod kierownictwem Tadeusza Grużewskiego.

Cena ogłoszeń: 30 kop. za wiersz petitowy w zwykłej szpalcie lub jego miejsce. Zmiana adresu 15 kop.	<table><tr><th colspan="2">WARUNKI PRENUMERATY:</th></tr><tr><th colspan="2">W WARSZAWIE:</th></tr><tr><td>Rocznie.</td><td>Rb. 8.</td></tr><tr><td>Półrocznie</td><td>„ 4.</td></tr><tr><td>Kwartalnie</td><td>„ 2.</td></tr><tr><th colspan="2">Z PRZESYŁKĄ:</th></tr><tr><td>Rocznie</td><td>Rb. 9.</td></tr><tr><td>Półrocznie</td><td>„ 5.</td></tr><tr><td>Kwartalnie</td><td>„ 2.50</td></tr></table>	WARUNKI PRENUMERATY:		W WARSZAWIE:		Rocznie.	Rb. 8.	Półrocznie	„ 4.	Kwartalnie	„ 2.	Z PRZESYŁKĄ:		Rocznie	Rb. 9.	Półrocznie	„ 5.	Kwartalnie	„ 2.50	<table><tr><th colspan="2">W AUSTRII:</th></tr><tr><td>Rocznie.</td><td>Koron 22</td></tr><tr><td>Półrocznie.</td><td>„ 12</td></tr><tr><td>Kwartalnie</td><td>„ 6</td></tr><tr><th colspan="2">W NIEMCZECH:</th></tr><tr><td>Rocznie.</td><td>Marek 19</td></tr><tr><td>Półrocznie</td><td>„ 10</td></tr><tr><td>Kwartalnie</td><td>„ 5</td></tr></table>	W AUSTRII:		Rocznie.	Koron 22	Półrocznie.	„ 12	Kwartalnie	„ 6	W NIEMCZECH:		Rocznie.	Marek 19	Półrocznie	„ 10	Kwartalnie	„ 5	Filja administracji na Ga- licyę, Kraków i zagranicę: Kraków, Długa 5 (p. Ste- fan Bernacki). Cena poje- dyńczego numeru 50 hal.
WARUNKI PRENUMERATY:																																					
W WARSZAWIE:																																					
Rocznie.	Rb. 8.																																				
Półrocznie	„ 4.																																				
Kwartalnie	„ 2.																																				
Z PRZESYŁKĄ:																																					
Rocznie	Rb. 9.																																				
Półrocznie	„ 5.																																				
Kwartalnie	„ 2.50																																				
W AUSTRII:																																					
Rocznie.	Koron 22																																				
Półrocznie.	„ 12																																				
Kwartalnie	„ 6																																				
W NIEMCZECH:																																					
Rocznie.	Marek 19																																				
Półrocznie	„ 10																																				
Kwartalnie	„ 5																																				

Adres Redakcyi i Administracji: Krucza 47a, telefon 65.71.

Cena numeru 20 kop.

TREŚĆ NUMERU:

Przegrana batalia. — *Al. Czechowski*. Nasze położenie międzynarodowe. — *Wł. Jabłonowski*. Dwaj wielcy pa-
tryoci włoscy (ciąg dalszy). — *Zdzisław Dębicki*. Pieśń
bez słów. — *Z. Mitkowski*. Szczęśliwość państwową. —
Wiktor Krypski. Albert Sorel. — Z tygodnia. —
Uwagi.

PRZEGRANA BATALIA.

Jakiemikolwiek drogami potoczy się kry-
zys rosyjski, do jakichkolwiek doprowadzi re-
zultatów, rozwiązanie izby niższej jest poraż-
ką kadetów, przede wszystkim zaś porażką ich
tatyki. Oni nadawali ton działalności izby,
oni byli w niej gospodarzami, oni właściwie
prowadzili kampanię parlamentarną z mocno
powziętym planem, wykluczającym rozwiąza-
nie. Plan się nie udał: w języku politycznym
nazywa się to klęską. I nam o ile zespolili-
śmy nasze nadzieje lub wyrachowania z wi-
dokami na zwycięstwo kadetów, w klęsce tej
przypada udział, co tem śmieiej stwierdzić
należy, że jedna bitwa nie stanowi o wyniku
wojny i że nie tak demoralizująco nie dzia-
ła w polityce jak wiara w łatwe zwycięstwo.

W tej kilkunastumiesięcznej burzy, któ-
ra nosi miano kryzysu rosyjskiego, łatwo wska-
zać zwyciężonych, ale nigdzie nie widać wła-
ściwych zwycięzców. Rozwiązanie opozycyjnej
izby nie jest wcale zwycięstwem rządu, ale
jest klęską partii kadetów. Chcieli oni oprzeć
się na siłach rewolucyjnych i zużytkować je
do swoich celów, a jednocześnie na drodze po-
kojowej przejąć władzę z rąk dzisiejszych biu-

rokratów: na teraz osiągnęli to, że sfery rzą-
dowe uważają ich za ukrytych rewolucyoni-
stów, a partye skrajne za *sui generis* nowych
biurokratów, którzy, dostawszy się do foteli
ministeryalnych, bardzo prędko zrozumieją ko-
nieczność zredukowania swego obszernego pro-
gramu. Ścigani podejrzeniami z jednej i dru-
giej strony, oskarżeni o dwulicową grę poli-
tyczną, schodzą narazie kadeci ze sceny, nie
pokazawszy swej rzeczywistej fizyognomii po-
litycznej. Tych wątpliwości nie jest w stanie
rozproszyc program, bo suche jego formuły
na tle praktycznej polityki można rozmaicie
pojmować, a sofistyka i dialektyka polityczna
umie sprowadzać w praktyce do zera najwy-
raźniej zaciągnięte zobowiązania, najkatego-
ryczniej złożone deklaracje. Kilka razy w cią-
gu ostatnich dwóch miesięcy wydawał się bli-
żkim gabinet kadecki, ale któż mógł powiedzieć,
jaką będzie rzeczywista polityka partii wol-
ności ludu, skoro przywódcy jej znajdują się
u władzy. Czy będzie się ona zawierała w rea-
lizacji programu? Wiemy, jak program ten
powstawał, wiemy aż nadto, że wiele punktów
włączono do niego dla agitacji, dla zjednania
stronnictw skrajnych. Czy taki program da się
w całości zrealizować i czy przywódcy kade-
cy uważają go za wytyczną swej praktycznej
polityki? Czy na serio przypuszczają możli-
wość uspokojenia wzburzonej Rosyi bez środ-
ków wyjątkowych, bez represyi, bez kary
śmierci, czy rzeczywiście są zdania, że potra-
fią przeprowadzić swe reformy i że one same
wystarczą do uśmierzenia rewolucyjnego za-
mętu?

Aż nadto jest powodów do mniemania,
że przywódcy kadeccy — mowa tutaj o praw-
dziwych przywódcach — są dalecy od tak ró-

żowego optymizmu, że mniej lub więcej zdają sobie sprawę z trudności, jakich wymaga przekształcenie ustroju państwowego. Wiedzą też oni, że niektórych punktów programu trzeba się będzie wtedy wyrzec, a inne ograniczyć, ale szeroka opinia nie ma w tym względzie żadnych wskazówek. Tylko domysły snuć można co do tych modyfikacji, którym musiałby uleść program kadeci przy przejściu od czystego eteru opozycyjnej teorii, do atmosfery warunków realnych w razie, gdyby, zamiast wygłaszać mowy z trybuny parlamentarnej, trzeba było wcielać w czyn kolejne punkty owego programu. Oto dlaczego ważniejszą, niż program rzeczą dla charakterystyki i oceny stronnictwa jest jego fizyognomia polityczno-moralna, która uwydatnia się stopniowo w samej działalności politycznej i na którą składają się czynniki psychologiczne i kulturalne, nadające właściwe zabarwienie abstrakcyjnym, ogólnym formułom programowym.

W ciągu krótkiej sesji Dumy stronnictwo wolności ludu nie pokazało, może tylko nie zdążyło należycie pokazać swej fizygnomii politycznej. Zarzucano mu, że wbrew uroczystym rezolucjom i deklaracyom uznało Dumę za rzeczywiste przedstawicielstwo narodowe i za ciało prawodawcze; cokolwiek można by powiedzieć o celowości takiego czy innego stanowiska, kadeci już na wstępie dowiedli, że nie myślą krępować się zbytecznymi skrupułami w kwestyi zobowiązań, choćby nawet bardzo zasadniczych. Nie odsłoniła też politycznej fizygnomii kadetów ich działalność parlamentarna, w której nad wszystkimi innymi górowały względy taktyczne. Kadeci jak ognia obawiali się ostatecznego zerwania z partjami skrajnymi, starając się jednocześnie utrzymać na gruncie legalnym; to właśnie nadało ich polityce znamiona nieszczeroci, lawirowania między sprzecznymi biegunami bez zajmowania określonego stanowiska środkowego; radykalizm zasad i nieubłaganej postawy względem rządu szedł w parze z oportunistem, umiającym łagodzić nagle zatarg, w chwili, w której stawał się niebezpiecznym; słowem, kadeci prowadzili politykę tak skomplikowaną, tak sztuczną, że nawet dla ich własnych podkomendnych przedstawiała ona być wyraźną.

Nie wyzbyła się też nigdy ich polityka dwuznacznego stanowiska względem nas i zasadniczego postulatu naszego, autonomii Królestwa. Z ducha, z instynktów, z poglądów i upodobań politycznych, kadeci byli i są czystej krwi liberalnymi centralistami; postulat autonomii, który przyjęli przeważnie ze względów taktycznych, niezbyt odpowiadał centralistycznym i doktrynerskim dążnościom rosyjskich konstytucjonalistów, to też ustawicznie w stosunku do nas z zasady autonomicznej zba-

czali. Najjaskrawiej uwidoczniło się to w kwestyi agrarnej; kadeci nie chcą się wyrzec swych centralistycznych programów, nie chcą uznać odrębności naszego kraju i naszych stosunków ani tem mniej, samej zasady autonomicznej, którą łatwiej o wiele przyjąć *in abstracto*. Nie chodzi tu zresztą o złą wiarę, ale o brak wyraźnego stanowiska, któreby obowiązywało do konsekwentnego postępowania; ogólnikowe uchwały zjazdów kadecich, dotyczące autonomii, to znacznie mniej niż się wielu wydaje, bo i wyraz ten ma zbyt szerokie znaczenie i termin oraz sposób wprowadzenia autonomii w życie pozostają nieokreślone. My w gruncie rzeczy niewiele wiemy, jaki jest i będzie rzeczywisty stosunek kadetów do postulatu autonomii.

Zawiele znaków zapytania. Stronnictwo wolności ludu straciło wiele ze swej spójności w ostatnich tygodniach pracy prawodawczej Dumy, rozwiązanie zaś jej postawiło je nagle w sytuacji krytycznej, w której grozi mu ciężkie przesilenie wewnętrzne, a może nawet rozpadnięcie. Przyglądamy się bacznie jego ewolucji w tym siedmiomiesięcznym okresie przerwy międzyparlamentarnej, może wyraźniej niż dotychczas ukaże się nam polityczna fizygnomia najwybitniejszego stronnictwa rosyjskiego.

NASZE POŁOŻENIE MIĘDZYNARODOWE.

Nie jesteśmy narodem niezawisłym, nie mamy możności rozstrzygania o swoich własnych losach i zabierania — jako naród — głosu w radzie ludów Europy. Niezależnie od tego jednak jesteśmy, w przeciwieństwie do innych ludów niewolnych, jak Irlandczycy lub Czesi, czynnikiem w polityce międzynarodowej, odgrywamy poważną rolę w rachubach politycznych rozmaitych państw i rządów.

Książę Bismarck i jego następcy napróżno zapewniali, że sprawa polska w znaczeniu międzynarodowym już nie istnieje. Każde oświadczenie ministrów, że państwu pruskiemu grozi niebezpieczeństwo ze strony polskiej, że celem „agitacji wielkopolskiej” jest oderwanie od Prus dzielnic polskich, że Prusy Zachodnie są szczególnie zagrożone, ponieważ państwo polskie bez Gdańska istniećby nie mogło, — jest pośrednim stwierdzeniem faktu, że kwestya polska nie jest tylko sprawą wewnętrzną każdego z trzech państw interesowanych, lecz że pozostaje nadal kwestyą międzypaństwową i nie może uchodzić za uregulowaną ostatecznie.

Charakter międzynarodowy kwestyi polskiej jest pod względem historycznym następ-

stwem podzielenia ziem b. Rzeczypospolitej między trzy państwa i ostatniego zatwierdzenia tych podziałów na kongresie europejskim w Wiedniu. Pod względem praktycznym zaś nie jest obojętną ta okoliczność, że zajmujemy szerokim pasem obszary graniczne trzech wielkich mocarstw i zmiany terytoryalne na tem pograniczu byłyby w danych warunkach naruszeniem strzeżonej pilnie „równowagi europejskiej“.

Za naszych dziadów i ojców „traktaty wiedeńskie“ były główną podwaliną naszego stanowiska politycznego. Dopiero z biegiem czasu, w następstwie bardzo przykrych doświadczeń, zrozumiano, że umowy międzynarodowe mogą nie być „ani grosza warte“ — według znanego oświadczenia bismarkowskiego — jeżeli nie ma potęgi, która dba o ich ścisłe przestrzeganie. „Traktaty wiedeńskie“ nie zapobiegły też zniesieniu konstytucji w Królestwie Polskim, ani wyzyskowi centralistycznemu w Galicyi, ani systematycznemu przesładowaniu wszystkiego, co polskie, w Poznanskim. Jeżeli zaś Galicya posiada od lat 40 skromną autonomię, to nie dla tego, że tak postanowiono na kongresie mocarstw w Wiedniu, lecz wskutek rozwoju stosunków wewnętrznych w Austrii, który zmusił do uznania zasady równouprawnienia narodowego i do oparcia ustroju monarchii na podstawie autonomicznej.

W praktyce znaczenie traktatów wiedeńskich równa się dziś zupełnie zeru. Natomiast w naszym położeniu politycznym odgrywa ogromnie ważną rolę fakt podziału ziem Rzeczypospolitej między kilka mocarstw. Austrya powaśniona od dawna z Prusami, a od wojny krymskiej także z Rosją, kroczyła w sprawie polskiej zawsze swemi własnymi drogami. Między Rosją i Prusami natomiast, wskutek zajęcia ziem polskich wytworzyła się pewna wspólność interesów, a jej następstwem był wspólny kierunek polityki i wzajemne popieranie się w sprawie polskiej.

Dla Prus, którym W. Ks. Poznański sięga niemal pod sam Berlin, a Prusy Zachodnie odcinają zupełnie Prusy Książęce od Pomorza, zgermanizowanie zajętych ziem polskich było kwestyą przyszłości państwowej, bytu lub niebytu mocarstwowego. Zgermanizowanie W. Ks. Poznańskiego było jednak rzeczą zgoła niemożliwą, dopóki rząd pruski musiał liczyć się z postanowieniami kongresu wiedeńskiego i szanować odrębność polityczną kraju. Nie podobna zaś było słabym wówczas Prusom wyłamać się otwarcie z tego obowiązku, dopóki Królestwo Polskie korzystało z konstytucji, nadanej, zgodnie z przepisami traktatu, przez cesarza Aleksandra. Gdy zatem wskutek ograniczenia praw konstytucyjnych, doszło do wojny polsko-rosyjskiej, Prusy poparły stanowczo Rosję, aby ułatwić jej przeprowadzenie walki, która miała doprowadzić do zniesienia zasadniczej odrębności Królestwa. To samo powtórzyło się w roku 1863, wobec powstania, mającego na celu odzyskanie odrębności politycznej. Od tego czasu istniała zupełna zgodność w polityce rosyjskiej i pruskiej względem narodu polskiego, i z tego skorzystał Bismarck dla przeprowadzenia swojej akcji germanizacyjnej.

Stosunki ogólnopolityczne zmieniły się tymczasem zasadniczo. Prusy wysunęły się na czoło ludów niemieckich i stały się wielkim mocarstwem, — dawne traktaty międzynarodowe utraciły do reszty swą wartość i przyskład Rosyi i Austrii w sprawie polskiej przestał obowiązywać już dwór berliński. Ale pozostał jeszcze nieosiągnięty cel ostateczny polityki germanizacyjnej — zatarcie charakteru polskiego wschodnich prowincji pruskich, a przyszłość jest niepewna i nikt przewidzieć nie zdoła, jak ułożą się z czasem stosunki polityczne. Obawa, że kiedyś może dojść do skonsolidowania się Słowiańszczyzny, do przepowiadanego od dawna wielkiego starcia między światem słowiańskim a germańskim, i czy w następstwie tego nie ukaże się na widowni kwestya zwrotu ziem, zabranych przez Prusy, — ciąży na polityce cesarza Wilhelma II i skłania do rozpaczliwych wysiłków germanizacyjnych.

Zwrot, który nastąpił w Rosyi wskutek wojny z Japonją, może być uważany za potwierdzenie tych przewidywań. Uwydatniła się możność porozumienia się polsko-rosyjskiego, a z tem łączy się fatalna dla Niemiec perspektywa nie tylko zasadniczego zwrotu w stosunkach ogólnosłowiańskich, lecz także zmian w konstelacji politycznej Europy. Mianowicie, można przewidzieć prawie napewno, że w takim razie nastąpiłby prędzej czy później zwrot w kierunku politycznym monarchii Habsburskiej, gdzie, po naprawieniu się stosunków polsko-rosyjskich, żaden naród słowiański nie miałby powodu popierać sojuszu z Niemcami, a sprzeciwiać się umowie z Rosją. W najpomyślniejszym zaś dla Niemców wypadku, zaprowadzenie autonomii w Królestwie Polskiem wzmocniłoby stanowisko Polaków we wschodnich prowincjach pruskich i utrudniłoby jeszcze więcej politykę germanizacyjną.

To wystarczy, aby zrozumieć, że rząd berliński nie przygląda się obojętnie rozwojowi stosunków, lecz dokładnie starań, aby nie ułożyły się w sposób dla niego niepożądany, aby sprawa polska nie została rozwiązana w sposób, budzący w Niemczech obawy co do przyszłości. Tego nie zmienia żadne zaprzeczenia pism półurzędowych niemieckich. Zaprzeczenia te stwierdzają też tylko, że Niemcy nie zawarły ani z Rosją ani Austryą żadnej umowy, która miałaby na celu niedopuszczenie do utworzenia Polski autonomicznej, nie obalają jednak pogłosek o tajnych zabiegach rządu berlińskiego ani nie rzucają światła na jego dążności i zamiary.

Pomimo to, tych oświadczeń urzędowych nie należy lekceważyć. Mają one znaczenie praktyczne, które polega nie na ich treści, lecz na fakcie ich ogłoszenia. Nie trzeba tłumaczyć, że nie są one przeznaczone dla narodu polskiego, nie są obliczone na to, aby uspokoić nas co do roli, którą w sprawie autonomii odgrywają Niemcy. Jak każde takie zaprzeczenie, tak i to należy uważać za dowód, że rozpowszechnienie danej wiadomości jest niepożądane dla rządu interesowanego. W tym wypadku rządowi niemieckiemu chodzi o to, aby usunąć podejrzenia, które wiadomość o jego zabiegach w sprawie polskiej obudziły

nie tylko w Rosyi, ale w ogóle w świecie politycznym Europy.

Nie znaczy to, że Europa interesuje się szczególnie kwestią polską. Od ostatniego razu, kiedy w Europie mówiono o niej ogólnie, kiedy jej uregulowanie było przedmiotem rachub politycznych i zabiegów dyplomatycznych, upłynęło pół wieku i stosunki bardzo się zmieniły. Dziś posiadamy niemal wśród wszystkich narodów licznych, serdecznych i szczerych przyjaciół, ale przyjaźń ta, o ile wogóle sięga do kół rządowych, nie uwypatnia się tam pod żadnym względem w sposób praktyczny. Dla Europy urzędowej, dziś najwyższą zasadą jest utrzymanie stanu, który w żargonie politycznym nazywa się *status quo*, unikanie wszelkich zmian, które mogłyby doprowadzić do naruszenia t. zw. równowagi europejskiej. Do tego, „*status quo*“ należy też podział ziem polskich, jaki istnieje od kongresu wiedeńskiego. Jak każdy z rządów interesowanych zachowuje się względem swoich poddanych polskich, jakie im nadaje prawa — to jest dla Europy urzędowej zupełnie obojętne, to są sprawy wewnętrzne, do których, według uznawanej powszechnie zasady, żadnemu mocarstwu mieszać się nie wolno. Z tej też przyczyny n. p. skierowane do Europy protesty Koła polskiego, w Berlinie, przeciw pogwałceniu traktatów wiedeńskich nie zrobiły pożądanego wrażenia i nie miały żadnych skutków.

Zasada utrzymania „*status quo*“ wymaga tylko, aby terytoryalny stan posiadania na obszarze polskim nie uległ zmianie na korzyść takiego mocarstwa, które przez zwiększenie swej potęgi mogłoby stać się groźne dla Europy. Potęgą taką z trzech mocarstw wchodzących w rachubę, są dziś jedynie Niemcy. Dlatego wiadomość o przygotowaniach niemieckich do zajęcia Królestwa Polskiego, o umowach, których celem miało być niedopuszczenie do utworzenia Polski autonomicznej, a następstwem byłaby zapewne okupacja naszego kraju, nie mogły być wcale obojętne dla rządów europejskich, zwłaszcza francuskiego i angielskiego, i dla tego rząd niemiecki nie pominął ich milczeniem. Słowem, względ na utrzymanie równowagi europejskiej stanowi zapórę dla polityki niemieckiej względem Królestwa Polskiego, musi powstrzymać go od wszelkiej akcji, która budziłaby podejrzenie, że łączy się z zamiarem przesunięcia granicy ku wschodowi.

Z tej też przyczyny, z góry można było powiedzieć, że pogłoski zeszłoroczne o zamiarze obsadzenia Królestwa wojskami niemieckimi i nowsze o „tymczasowej okupacji“ kraju naszego przez Niemców były mylne. Wszelka taka akcja, bez względu na to, czy nastąpiłaby w porozumieniu, czy bez porozumienia się z rządem rosyjskim, wywołałaby stanowcze protesty w Europie, byłaby przedsięwzięciem awanturniczem, które doprowadziłoby zapewne do wojny europejskiej. Z tej samej przyczyny nie zasługiwała na wiarę druga pogłoska, według której Austria, na mocy umowy, zawartej w Schoenbrunn, miała zająć Królestwo Polskie, a Niemcy kraje nadbałtyckie. W tym wypadku względ na Królestwo Polskie nie odgrywałby roli poważnej w polityce europejskiej, bo powiększeniu

terytoryalnemu Austrii niktby się pewno nie sprzeciwił, ale zagarnięcie prowincji nadbałtyckich przez Niemców, wywołałoby ogromną burzę, i do protestu mocarstw przyłączyłyby się także małe państwa północne, które nie mogą pozwolić na to, aby Bałtyk zamienił się na morze niemieckie.

Pozostaje jeszcze trzecie przypuszczenie: że polityka niemiecka dąży do tego, aby przyłączyć Królestwo Polskie do Austrii bez żadnych korzyści terytoryalnych dla Niemiec. Przypuszczenie to nie jest wcale tak fantastyczne, jakby mogło się wydawać, bo taka akcja mogłaby najskuteczniej zapobiec porozumieniu się polsko-rosyjskiemu i jego dalszym, groźnym dla Niemiec następstwom, a nadto, przyspieszyłaby niewątpliwie rozwiązanie kwestyi prowincji niemieckich Austrii w duchu wszechniemieckim. Wobec takiej perspektywy, rząd niemiecki nie przeląkłby się zapewne nieuniknionego w takim razie wypłynięcia kwestyi polskiej, ograniczonej ramami tej akcji, na widownię ogólnoeuropejską. Jeżeli też w pogłoskach o propozycjach, robionych w Schoenbrunn, przez cesarza Wilhelma, mieściła się odrobina prawdy, to mogło chodzić tylko o takie rozwiązanie kwestyi.

Z oświadczenia, ogłoszonego przez organ kanclerza Bülowa, wiemy, że niezależnie od tego, w jakim kierunku zwracały się zabiegi niemieckie, do zawarcia żadnej umowy nie doszło, a przypuszczalnie nie dojdzie także w przyszłości, dopóki w Austrii będzie panował cesarz Franciszek Józef. Tak więc pozostaje ces. Wilhelmowi, na razie, tylko bezpośrednie oddziaływanie na postanowienia rządu petersburskiego, i nie jest prawdopodobne, żeby Niemcy wobec niepomysłnej dla siebie konstelacji europejskiej, w razie niepowodzenia w tych zabiegach, mieli odważyć się na wystąpienie zbrojne. Znaczyłoby to stawić wszystko na jedną kartę, w warunkach najniepomysłniejszych i wywołać ukazanie się kwestyi polskiej w całej jej rozciągłości na widowni politycznej. Tego zaś, jeżeli kto, to Niemcy pragnąć nie mogą.

Al. Czechowski.

DWAJ WIELCY PATRYOCI WŁOSCY.

(G. MAZZINI I G. GARIBALDI)

II.

GIUSEPPE GARIBALDI.

(1807—1882).

Oto bohater ludowy, wódz hufców sformowanych nie dla podpory tronów, nie dla łupu i najazdu ziem obcych, lecz ku obronie narodu pokrzywdzonego, — wcielenie jego instynktu wolności, wykonawca jego woli, jego żądzy walki z ciemnością! A przy tem rycerz

prawy, pełen prostoty i wspaniałości dostojnej, o sercu lwim i duszy skromnej,—rycerz walczący z musu, dla świętej sprawy, nie dla czczej chwały orężnej i upajania się zwycięstwem,—nie rzemieślnik wojenny rozbestwiony powodzeniem ani mściwy Bóg wojny!

Z tej rasy wojowników, co Kościuszko, i Pułaski, Dąbrowski i Sokolnicki — tylko szczęśliwszy od nich!.. Wiódł, jak i tamci, bóg dobry, z potęgami mroku i ucisku, ale danem mu było dotrzeć do celu i zachować wiarę. Królom rozdawał wspaniałomyślnie korony, ojczyźnie własnej przywrócił wolność, obce narody, jęczące w niewoli zwracały ku niemu wzrok utęskniony, gdyż stał się symbolem walki o wolność ludów podbitych, podnosił głos i oręż w ich obronie.

Postać legendarna i życie roztaczające się od początku do końca, jakby jaka legenda wspinała.

Wszystko go przeznaczało do wielkiej roli, jaką miał spełnić — a los sprzyjał zamiarom. Urodził się z nienawiścią niewoli w sercu, ducha bohaterskiego wzmocnił życiem surowym od kolebki, szeregiem przygód nadzwyczajnych, czynów i przedsięwzięć śmiałych, zahartował go w ogniu cierpienia i prywatności wszelkich. Ominęły go kule, nie pochłonęły oddechu oceanu wzburzonego, nie zwalczyła zawiść i przewrotność ludzka, nie złamał ból osobisty, nie znieprawiała sława zdobyta. Przez całe życie szedł krokiem równym do jednego celu, znał tylko ten wysiłek, który do niego go zbliżał, nie go z tej drogi odwrócić nie miało siły. Żywot nie zrównanie całkowity, potęgą jego jaknajwłaściwiej zużyta. Staje Garibaldi do walki z wrogami ojczyzny, jako prosty szeregowiec, gotów słuchać innych, tych co bój prowadzą, bez myśli ukrytej o wyniesieniu się własnym. Po spotkaniu się w Marsylii z Mazzinim, w którym słusznie widzieć można moment decydujący o losach Italii, w 26 roku życia, kiedy wiek sam zachęca do rojeń ambitnych i myśli o sobie samym, Garibaldi żyje jedną tylko namiętnością: pragnie walczyć o wolność ojczyzny i pomścić tych, co zginęli w jej obronie. Na wymowne i płomienne wezwanie Mazzini'ego odpowiada z prostotą ludzi silnych, pożądanym czynu natychmiastowego: „Jestem gotów, bracie, powiedz mi gdzie—kiedy, jak!” Nim mógł się zmierzyć z wrogiem, już musiał opuszczać kraj rodzinny i wśród obcych, jako skazaniec na śmierć, szukać zajęcia dla swojej energii i żądzy czynu. Wstawiony w bojach jakie wiodły ze sobą państwa Ameryki Południowej, mógł, śladem wielu innych, postawionych w podobne warunki, sprzedawać szpadę swoją więcej dającemu. On zna tylko służbę pod sztandarem wolności i, walcząc za obcą, sposobi się nieustannie do walki za swobodę ojczyzny dalekiej. Z towarzyszy wypraw korsarskich, z ochotników legionu włoskiego, utworzonego w Montevideo, którego był wodzem, powstanie ten pierwszy zastęp nieustraszonych wojowników, co miłość swobody i chęć walki o nią rozniosą z nim po kraju ojczystym, co wiary w tryumf dobrej sprawy nie tracili nigdy, co rozpoczętego dzieła wolności nie opuszczali w pół drogi, a wroga zawsze szukali pierwsi.

Z takimi to ludźmi, po kilkunastu latach służenia obcym, gdy pobudka do walki z na-

jeźdźcą zacznie rozbrzmiewać w ojczyźnie, pośpieszy pełen zapału wspomagać walczących, stanie na czele tych, co tylko w walce zbrojnej widzieli zbawienie kraju i na tej prostej drodze wytrwa do końca, do ostatecznego wypędzenia wroga z ziemi ojczystej. W tym długim okresie walk narodowych, od 1848—72 r., na rozmaitych stanowiskach i wśród wszelkich okoliczności, wykaże Garibaldi nie tylko niezwykle męstwo żołnierza, nie tylko wysokie przymioty wodza, lecz i charakter wzniosły człowieka, który wszelkie sprawy prywatne, obrazy, poniżenia, — wszystko co dusza odczuwała jako ból i krzywdę osobistą, poświęci i zapomni dla dobra sprawy ogólnej której niezmiennie wiernym chciał być przedewszystkiem.

Spychano go na stanowiska podrzędne, kazano iść pod komendę mniej zdolnych, zapomniano — gdy dyplomacy i politykom stawał się mniej potrzebnym, płacono niewdzięcznością najgrubszą, albo wprost traktowano jako wroga niebezpiecznego, którego należało poskromić dla dobra ojczyzny...

Hamowano nieraz impet zwycięzcy, krępowano lwa wyprężonego do skoku, psuto przewrotnie plany i zamiary, wypielegnowano w sercu bezinteresownym, obliczone na pożytek niechybny współbraci.

Ulegał, poddawał się—byle nie rozstrajać jedności narodu walczącego o wolność, i chyba wówczas tylko zrywał gwałtownie pięta wkładane na niego, gdy przekonywał się niezbitcie, że kierownictwo przezornych i zbyt ostrożnych, sprawy wyzwolenia narodu nie posuwa naprzód, obcina wspaniałe drzewo wolności i gorącym aspiracjom całego narodu nie czyni zadość. Wielkodusznością, prostotą, poświęceniem bezgranicznym, wytrwałością hartowaną i bohaterstwem naturalnym, pozbawionem pychy i dekoracyjności, odznacza się jego długoletnia służba w szeregach obrońców ojczyzny.

Na samym jej wstępie, kiedy najlepsi ludzie w narodzie powstającym z martwych, jak Mazzini np., czuli, że „Garibaldi jest człowiekiem sytuacji”—spotyka go zawód, nie jemu bowiem, pomimo starań tryumwira, Mazzini'ego, dostaje się naczelne dowództwo wojsk Rzeczypospolitej Rzymskiej, walczących rozpaczliwie pod murami oblężonego Rzymu (1849 r.) z armią francuską, papieską i neapolitańską,—lecz generałowi Roselli'emu, który nie dorównywał mu energią i talentem i nie był tym, co jak Garibaldi, przemieniał niesforne kupy ochotników w zdyscyplinowane i niezwyciężone zastępy żołnierzy-bohaterów. Pominiecie to nie zmniejszyło zapału Garibaldi'ego, wytrwania do ostatka i waleczności, wykazanej w obronie stolicy. W kilkanaście lat potem złoży nawet szczerzy hołd pamięci tego, który go pozbawił—był nim Carlo Pisacane—dowództwa naczelnego. Gdy jako tryumfator wejdzie do Palermo, (1860 rok) staną przed nim, odarci i wynędzniali, pozostali uczestnicy bohaterskiej lecz nieszczęśliwej wyprawy tegoż Pisacane, świeżo uwolnieni z więzień burbońskich. Na ich widok odezwie się: „oto zwierciadła życia ludzkiego; my, którym sprzyja fortuna, zamieszkujemy pałace królewskie; ci waleczni, dla tego że zwyciężeni, byli wtrąceni do więzienia, chociaż sprawa i odwaga

jest ta sama. Pierwsze honory należą się Pisacane — on i ci waleczni byli naszymi pionierami“. W taki prosty, godny prawdziwego rycerza wolności, sposób załatwia wszelkie swoje osobiste porachunki z ludźmi: szczerze uderza czołem przed zasługą, bezobłudnie i sercem pełnem czci tych, których mógł kiedyś urazić lub też być względem nich niesprawiedliwym. Tak było na przykład z Mazzinim, z którym intryganci i zimni starali się go nie raz poróżnić, od którego na czas jakiś potrafili go nawet odwrócić. Czuł dług zaciągnięty w obec wielkiego patryoty, który pierwszy przekonywał sceptyków, że Garibaldi jest przeznaczony na mściciela krzywd narodu. Kiedy uznany już był za Salvatora ojczyzny, a ludy obce entuzjastyczne składały mu hołdy, ozwało się wdzięczne serce bohatera i pośpieszyło błęd naprawić. Na uczcie u A. Herzena, w Londynie, (1866 r.) w obecności europejskiej sławy bojowników za wolność, tak przemówił do tragicznego wygnańca, na którego osiwiła w troskach o dobro kraju głowę sypały się zarzuty ludzi małych i zawistnych: „Mam tu zrobić oświadczenie, które dawno powinienem był uczynić; jest tu człowiek, co sprawie wolności i ojczyźnie mojej oddał jaknajwiększe usługi. Gdy byłem młody i żywiłem tylko same pragnienia, szukałem człowieka, który mógł by mi doradzić i pokierować moją młodocia; szukałem go jak spragniony poszukuje wody. Znalazłem go; on jeden zachował ogień święty, on jeden czuwał, kiedy wszyscy spali. Zawsze był oddanym mi przyjacielem, pełen miłości dla kraju swego, pełen poświęcenia dla sprawy wolności. Jest nim mój przyjaciel, Józef Mazzini. Za zdrowie mistrza mego!“ *)

W najszcześniejszych tak samo jak i w najkrytyczniejszych momentach istnienia, kiedy radość z postępu sprawy ojczystej wypełnia mu serce, bądź gdy drży o jej losy i przecuciem rzeczy wielkich się targa, — zachowuje niezrównaną prostotę swoją, swobodę i moc spokojną ducha; żyje bez frazesu — czynami samymi, ogromnymi w istocie, zwyczajnymi w jego rozumieniu. A jeśli użyje kiedy frazesu, to za nim w ślad idzie czyn potężny, z nim zupełnie zgodny i zharmonizowany.

„Bixio! — powiada do towarzysza broni, po wylądowaniu w Marsali na czele sławnego „tysiąca“, w obliczu trzykroć silniejszego wroga — tu się robi Italię jedną, albo się umiera!“ — i zaraz potem, widząc zamieszanie we własnych szeregach, ze szpadą w ręku, rzuca się pierwszy na nieprzyjaciela, podnosząc odwagę ochotników swoich na poziom własnej. Tu, na polach Calatafimi, w istocie zapoczątkowaną była jedność Włoch, Garibaldi zaś, po zwycięstwie, pisze o tem nazajutrz do przyjaciół w sposób niedbały, bez cienia nawet chępliwości, właściwej ludziom upojonym powodzeniem: „Wczoraj walczyliśmy i zwyciężyliśmy“... Rok 1860 jest jednym z najpiękniejszych okresów jego życia, wspaniałym ra-

psodem z eposu jego chwały, która w tym czasie promieniuje na cały kraj i stawia go w ognisku życia narodowego. Tyle tu czynów wielkich, doniosłych, że dziesiąta ich część wytrąciłaby niejednego z równowagi, odebrałaby panowanie nad sobą i butą żołdecką mogłaby przejąć. Marsala, Calatafimi, Palermo, Neapol, Volturmo!

Świetne zwycięstwa, dziesięć milionów współbraci wyzwolonych z pod jarzma obcego, dwa Królestwa ofiarowane prawowitemu władcy półwyspu, jego samego przekształca Garibaldi z króla Sardynii na króla Italii. Sam wódz zwycięzki staje się dyktatorem Włoch południowych, organizuje obronę, podnosi spustoszone prowincje; oklaskują go tłumy, ba! nawet w obecności króla Wiktora Emmanuela — tego późniejszego „*padre della patria*“ — widzą tylko jego i szalą uwielbienia wywołuje w nich nie suty galon munduru królewskiego, lecz „czerwona koszula“ bohatera ludowego. Po tem wszystkim ten, co był wybrańcem losu, komu fortuna tak sprzyjała, porzuca bez żalu wszelkie jej dostatki, nic sobie z nich nie bierze, ustępuje miejsca tym, co zręczniejsi byli od niego we władaniu słowem“ i... z pięćdziesięciu lirami w kieszeni idzie na odludną Caprerę z jedyną myślą, że to dla ostatecznego zjednoczenia ojczyzny trzeba jeszcze zdobyć Rzym i Wenecję. A w tem dążeniu, na tej drodze do celu całego życia, tyle poniżej trzeba było przejść razem z ojczyzną, wystawioną prawie przez dziesięć lat na stałe niepowodzenia, dzięki chwiejnej polityce następców Cavour'a, tyle od nich doznać złego, przez takie przejść upokorzenia i porażki bolesne, że można było zwątpić, stracić wiarę w przyszłość i zaniechać zamiaru.

Nic podobnego nie dzieje się jednakże! Nic się nie zmienia w jego wierze i postanowieniu, nawet po okropnej tragedii, jaka go spotkała pod Aspromonte. Tu poniewierają wieńcem jego sławy, tu zasypują go z nienacka gradem kul, jak zaskoczonego herszta szajki zbójckiej, tu życie jego tyle zasłużone i tak niezbędne dla kraju — mają sobie za nie!

(Gdy Garibaldi wystąpił w pole gromadząc pod swój sztandar walecznych pod hasłem: „Śmierć albo Rzym“, — zagroziły mu drogę wojska królewskie chcąc przeszkodzić wyprawie; doszło do starcia pod Aspromonte, gdzie Garibaldi został ciężko ranny w nogę.) Ludzie, jak generał Cialdini np., co małość swoją chcieli zmierzyć z wielkością Garibaldi'ego, urągają mu potem i pysnią się czynem, który był wprost zbrodnią potworną, już nie przeciw osobie wodza zasłużonego w walkach o niezależność ojczyzny, lecz przeciw ojczyźnie samej, borykającej się z wrogiem.

Niezrażony tym bezprzykładnym dowodem złości współzawodników swoich, którzy wciąż psuli dzieło zupełnego wyzwolenia narodu, w parę lat później (1867 r.) znowu skupia drużyny swoich ochotników i prowadzi ich pod mury Rzymu. Za sprawą wojsk francuskich pobity pod Mentaną, po rozpaczliwych wysiłkach, zmuszony zostaje do odwrotu. Przychodzi ból, smutek ogarnia duszę zawiedzionego w swych nadziejach bohatera, ale w sercu postanowienie wciąż trwa niezmiennie. Piśsze o tem do Quinet'a: „Nie dawałem nigdy wia-

*) Wzruszającą tę scenę opowiada Herzen w świetnej charakterystyce Garibaldi'ego p. t. „*La Camicia rossa*“ („Czerwona Koszula“). Biografowie Garibaldi'ego, między innymi, Jessie, White Mario, („*Vita di G. Garibaldi*“ tomów 2) przytaczają ją również...

ry, żeby żołnierze z pod Solferino mogli przyjąć zwalczając braci, którym wywalczyli wolność krwią własną,—temu właśnie zawdzięczam porażkę swoją. Niech jednak przyjaciele nasi z Francji i całego świata będą spokojni. My rozpoczniemy pracę na nowo". Nie było słowem klęski, nie było siły, która mogłaby skruszyć tę wolę hartowną, tego ducha niepokornego i nieumęczonego. „*Ora e sempre*”—„teraz i zawsze": Oto prosta dewiza jego życia, jego postępowania.

Nie było również krzywdy doznanej, którą mogła w to serce prawe wnieść jad zemsty, chęć wywarcia jej na krzywdzicielu. On zna tylko odwet szlachetny: spieszy z pomocą tym, co z krzywdzicieli stali się pokrzywdzonymi. Tak było z Francją, zdeptaną pod Sedanem, upokorzoną. Ileż ran zadały Garibaldi'emu jej rządy, rząd Napoleona III zwłaszcza. W 1849 r. niweczą Rzym republikański, nadzieję patriotów włoskich, jądro jednoczącego się narodu; w 60 r. zabierają mu rodziną, ukochaną Nizzę, w 67 r., na polu bitwy pod Mentaną, tam gdzie to szaspoty francuskie „dokazywały cudów", niszczą kwiat szlachetnej młodzieży włoskiej, która zgromadziła się pod jego sztandarem. Garibaldi zapomnia o tem wszystkim, współczuje nieszczęściom narodu, doprowadzonego zdradą do upadku i poniżenia, zbiera swoich walecznych i spieszy z pomocą rządowi świeżo powstałej Rpltej francuskiej. Czy może na jakieś osobliwsze zaszczyty i wyróżnienia, na jakieś stanowisko widoczne, pochlebające miłości własnej, równe choćby sławie zdobytej — doświadczeniu militarnemu? Bynajmniej!

Nawet nie mianowano go dowódcą wszystkich oddziałów strzelców wolnych, nie dano nawet dowództwa nad armią Wogezów.

„Nie jestem ani jednym ani drugim—odpowiada osobie, która go zapytuje czem jest w tej wojnie—jestem żołnierzem Rzeczypospolitej i to powinno wystarczyć!!!“

Oto zachowanie się człowieka, który miał za sobą szereg czynów wielkich, co widział u stóp swoich hołdujące ludy, przed którym ze czcią, bili czołem najslawniejsi ludzie epoki.

Z najwyższą obojętnością na to wszystko, do czego tak się przywiązują śmiertelni, on, gdy chodzi o walkę w imię wolności, zapomina o tem czem był, czem jest—i staje pod jej sztandarem, jakby młody ochotnik, spragniony tylko przelania krwi własnej w jego obronie.

Udział Garibaldi'ego w walce z najazdem pruskim jest jednym z najszczytniejszych dowodów jego wielkoduszności.

Już orzeł wzbił się do najwyższego kresu, już rycerz składa broń, niczem niesplamioną, do pochew,—już może powiedzieć w chwili skonu: „walczyłem w dobrej sprawie, doszedłem do celu, zachowałem wiarę!“

Kraj rodzinny, wyrwany za jego przyczyną ze szponów wroga—nie potrzebuje już jego ramienia. Ostatki życia swego poświęca Garibaldi dziełom pokoju: walce z ciemnotą i rozstrojem, godzeniu poważnionych współbraci. A dziś, gdy naród cały, w stuletnią rocznicę urodzin bohatera, czcić zamierza jego imię uwielbione, staje on przed nim jako preczysty wyraz tego, co w sercu ludzkim jest najlepszem, a winno być nietykalnem—miłości ojczyzny! A gdy obcy człowiek przegląda ży-

wot jego i podziwia czyny, nie sposób mu nie wyznać: oto ten co wzbogaca innych, obywateli Rzeczypospolitej wszelkich uczuć dobrych i wszelkich poświęceń szczytnych, który własnym interesom przeciwstawia prawo i dobro człowieczeństwa. „Człowiek prawdziwie dobry, zacny i prawy, którego cnoty prywatne równać się tylko mogą cnotom publicznym i wspa- niałomyślności, czego przykładów napróżno szukać w Rzymie czy też w Sparcie!..

Wł. Jabłonowski.

PIEŚŃ BEZ SŁÓW.

Samotna gędzbo mojej duszy,
Niedosłyszalna gędzbo ty bez słów.
Podobna kwiatu białemu, co pruszy
Wiosną z kwitających na rozstajach drzew —
Szeptem i szmerem idąca z daleka,
Jak lekki przedwieczorny powiew wiatru,
Niosący z sobą zapach łąk i pól...

Cicha, niedosłyszalna gędzbo mojej duszy,
Odgłosie dziwnych, tajemniczych snów,
Podobny trzepotaniu białoskrzydłych mew,
Co przysiadają na masztach okrętu
W obcej, dalekiej, niepowrotnej drodze
Do łądów, majających w omglonej srodozde...

Niedosłyszalna gędzbo ty bez słów —
Harmonio niezmaczona wśród dźwięków zamętu,
Mistrzynie, trzymająca mego ducha ster,
Cicho z nadziemskich spływająca sfer,
Kędy melodye brzmią Pieśni odwiecznej
Wśród gwiazd, które bity jest gościniec mle-
[czny...

Cicha, niedosłyszalna gędzbo mojej duszy —
Jedynie w moim życiu słoneczne przedziwo,
Tajemny, wewnętrzny głosie mego „ja“,
Pełnego tęsknot, płynących, jak rzeka
Ku Nieznanemu, co w bezmiar ucieka
I w bożem łonie, jako tajemnica, tkwi...

Niedosłyszalna gędzbo ty bez słów—
Głosie mych myśli i głosie mej krwi,
Co jak wspaniały, purpurowy kwiat
W wizjach płomiennych mej duszy wystrzela...

Iskro tajemna wiecznego ogniska,
W którym się Duch mój trawi i spopiela,
W wyższy i lepszy przekształcając byt...

Odlatująca od ziemskich katuszy,
Niedosłyszalna gędzbo mojej duszy,
Niedosłyszalna gędzbo ty bez słów,
Jazń mą w promienny prowadząca świt,
Gdzie wiekuista, jasna szczęścia zorza
Hostyą słoneczną na niebie wyblęska
I obejmuje w swe władztwo przestworza...

Cicha, samotna gędzbo mojej duszy,
Dziedzino nigdy nieziszczalnych snów,
Siostrzo melodyi tajemnej Wszechświata,
Muzyko dziwna Czasu i Przestrzeni,

W słońce zachodzących wezbrana czerwieni,
W oceanowe pogwary zakłeta,
W poszumy lasów i w zbóż kłosnych śpiewy,
W poświsty wiatrów i w piór orlich loty —

Pełna tęsknoty,
Z tajemniczego rozkazu poczęta
I w tajemnicę napowrót płynąca,
Pieśni, w mej duszy czarownie dzwoniąca,
Niedosłyszalna pieśni ty bez słów!..

Zdzisław Dębicki.

SZCZĘŚLIWOŚĆ PAŃSTWOWA.

POGLĄD POBIEŻNY.

„Państwo szczęśliwe“. Czy na kuli ziemskiej znajduje się osobliwość taka?

Człek, pytaniem tem zaskoczony, krócej lub dłużej pomyśli pierwej, zanim, uczyniwszy w głowie pobieżny największych, wielkich, średnich, małych i najmniejszych państw przegląd, odpowie zapytaniem:

— Cóż w państwie szczęście stanowi?

Na drugie to pytanie odpowiedź nie może być chyba inna, jeno następująca:

— Szczęście w państwie stanowi ogólne, czy to obywateli, czy też poddanych zadowolnienie.

Obywateli?... Poddanych?...

Nowe, podwójne, o charakterze odnośnie do głównego wstępnym, pytanie.

Dwoistość ta wymaga wykazania różnicy, zachodzącej w państwach pomiędzy członkami społeczeństw—członkami, będącymi w jednych obywatelami, w innych poddanymi.

Skąd się to wzięło?

W społeczeństwach starożytnych, służących za wzór średniowiecznym a porządkujących się w liniach głównych wedle greckich naprzód, rzymskich następnie wzorów, członkowie onych, na mocy pierwotnie pojmowanych a dziś jeszcze uwzględnianych „konieczności państwowych“, dzielili się na obywateli (*civis*) i poddaństwa (*plebs*). Pierwsi posiadali prawa i obowiązki odnośnie do państwa, oraz przywileje w stosunku do klas niższych; drugich prawa i obowiązki podporządkowywały się mniej lub więcej zależnie (klienci, wyzwolenicy, niewolnicy w Rzymie, wassale, lennicy, mieszczanie, chłopci czynszowi i pańszczyźniani w wiekach średnich i dużo później) pod przywileje pierwszych, podległych władzy monarszej lub republikańskiej.

W czasach nowożytnych, w epoce kształtowania się społeczeństw wedle nowożytnych zasad demokratycznych (demokracje starożytne i średniowieczne, jako też późniejsze, aż do końca w. XVIII, porządku społecznego nie rozumiały bez niewolnictwa), z państw jedne zasady te przyjęły i u siebie wprowadziły całkowicie, drugie połowicznie, inne mniej niż połowicznie, a nie brak i takich, które demokratyzmem posługują się dla maskowania przewagi władzy wykonawczej nad prawodawczą i torowania drogi miłemu monarchiom samowładztwa. Do tego rodzaju

monarchii należą cesarstwa Niemieckie i Austriackie. Państwa, bez względu na stopień zdemokratyzowania, warunkującego się pewnym udziałem narodu w prawodawstwie, noszą nazwę konstytucyjnych.

Mniejszych i większych państw regularnych—nie wliczając w to państw na wyspach Oceanii, oraz niedopatrzonych jeszcze przez europejską zaborczość kolonizacyjną zlepków państwowych w Afryce środkowej—statystyka ma do wymienienia 83 (do niedawna miała 81, póki się Panama od Kolumbii i Norwegia od Szwecji nie oddzieliły). Na to: 23 republiki, 44 monarchie konstytucyjne, 16 monarchii samowładczych, t. j. takich, u których w osobie przed nikim i niczem nieodpowiedzialnego monarchy ześrodkowują się bezwzględnie władze prawodawcze i wykonawcze.

Na zanotowanie zasługuje ta osobliwość, że z tych państw szesnastu, Europa, która demokratyzowanie społeczeństw zapoczątkowała, posiada trzy, ale jakie!—jedno, zajmujące przestrzeń, wynoszącą 5,594,771 kil. kw., podczas kiedy wszystkie inne państwa europejskie, w ilości 44, mieszczą się na 4,296,078 kil. kw.; drugie zajmuje w Europie 170,293 kil. kw., trzecie około 23,2. Na przestrzeniach tych w pierwszym zamieszkuje 103,671,253 głów ludu, w drugim 5,977,440*), w trzecim 15,180. W trzech tych państwach, w każdym z nich, jedna jeno osobistość ma pełne, zaprzeczyć się niedające, prawo mianowania siebie obywatelem (*civis*). Wszystkie inne prawa tego nie posiadają. Śmiesznością byłoby zwać Turka np. „obywatelem Turcyi“, albo mieszkańca Monte-Carlo „obywatelem księstwa Monako“. W szesnastu europejskich i azjatyckich państwach niekonstytucyjnych przynależnicy ich, z wyjątkiem monarchów, poddani mi są.

Śród państw konstytucyjnych pełnemi prawami obywatelskimi cieszą się tylko przy należnicy republik. W monarchiach prawa te podlegają stopniowaniu takiemu, że w jednych obywatelskość jest prawie zupełna, jak w Anglii np., w której tron ma dziś znaczenie dekoracji historycznej. W innych praktykują się one połowicznie, dzięki przywilejom koron-dystrybutorów urzędów, zaszczytów, prerogatyw; w innych zaś dosięgają zaledwie ćwierci tego, co obywatelskość stanowi. Równie niemal śmiesznie, jak obywatel turecki, wyglądałyby terminy: „obywatel pruski“, albo „obywatel austriacki“, ze względu, co się Prus tyczy, na rozległość władzy monarszej, dzielącej się dowolnie z rządem (ministryum) wobec narodu nieodpowiedzialnością, stanowiącą wyłącznie przywilej korony; ze względu co do Austrii—na dopuszczalność takich awantur, jakimi się lat kilka ostatnich monarchizm w charakterze królewskim na Węgrzech popisywał, uwieńczonych podszyciem monarchizmu, pod przybraną praw wyborczych firmą, socjalizmem — a to celem kielznięcia zawadających mu aspiracji narodowych.

Monarchizm wogóle, konstytucyjny czy niekonstytucyjny, posiada w organizmie swoim niejako zaczyn niezadowolnienia, pod postacią

*) Dwa te państwa posiadają w Azji rozleglejsze niż w Europie obszary.

lepu na wszelakie próżności ludzkie, skojarzonego z przymiotem wywoływania w społeczeństwach i wyzyskiwania na rzecz własną nieogłębłości i zaślepień partyjnych, klasowych, narodowościowych, religijnych.

Możeż taki prawno-polityczny ustroj państwowo szczęście zapewnić? Możeż on pół i ćwierć-obywateli zadowolić?...

Nie konia z rżędem, lecz nagrodę najogromniejszą śmiało ofiarować możnaby za wykazanie państwa konstytucyjnego, któreby wśród ludności swojej niezadowolenia nie wzbudzało.

Poszukiwanie osobliwości takiej w tej państwowej kategorii daremne byłoby. Ani Anglia nawet wykazać jej nie może.

Osobliwości takie znajdują się jednak — w dwóch atoli innych kategoriach: w samowładztwie i w republikańskiej. Odkrywa się je w nich, w rozmiarach wszelako pod względem każdym jak najskromniejszych — nie w Rosyi, nie w Chinach, nie w Turcyi, ani w Maroku, nie w Stanach Zjednoczonych Ameryki Półn., nie we Francyi, ani w Szwajcaryi.

Zadowolenie — świadectwo szczęścia — tu wśród poddanych, owdzie wśród obywateli, znajduje się w dwóch państwach niepodległych: w księstwie Monako i w rzeczpospolitej San Marino.

Shczęście, zadawałające Monakijczyków, z takiej niestety znane jest strony, że państwowego księstwa tego ustroju za wzór podawać nie godzi się — i na wzór, mimo przyjętej u wysokich racyi stanu sferach, reguły, rozgrzeszającej polityczną na wielką zwłaszcza skalę działalność, ze wszelkich „niepoprawności“ etycznych, nie nadaje się on. Uchodzą zmowy zaborcze*), nadużycia biurokratyczne, szczwania klas społecznych jednych na drugie i narodów na narody, prześladowania najdziksze, ciągnięcie dochodów z monopolów propinacyjnych, zaciąganie pożyczek w widokach bankructw; ale... życie z szulerki?... — tego pod żadną heroizmu kategorią, ani mądrości stanu regułą podciągnąć nie sposób.

Co innego San Marino — rzeczpospolita. I ona się na wzór wielkim tego świata nie nadaje. Ustroj państwowy prawno-polityczny, zrazu czysto-patryarchalny, następnie rodowopatryarchalny, zadowalający San Mariniian lat około 1,500, nie dałby się zastosować ani w Stanach Zjednoczonych A. P., ani w Szwajcaryi. Niemniej przeto ustroj ów na poważną we względzie polityczno-społecznym zasługuje uwagę, jako najpierwiastkowszy, najżywiółowszy, szczęśliwości państwowej warunek.

Gdy ustroj ów parę miesięcy temu na konstytucyjno-reprezentacyjny zmieniony został, publicystyka europejska zajęła się tem państwem mikroskopijnem, posiadającym 61 kilom. kw. obszaru i liczącem około 10,000 głów ludności, dopatrzyła w niem rzecz dziwną: szczęście — i państwowe szczęście onego

*) Rozbiorowi Polski, wykołatanemu przez Fryderyka Wielkiego, czyż jakościowo nie odpowiadają knowania, prowadzone w zamiarze rozbioru Chin?... Wilhelmowi II nie powiodło się. Rosya mu nie dopisała, jak dopisała wielkiemu przodkowi jego. Niemniej przeto zamiary te, mające się do etyki, jak się do niej zamachy na cudzą własność mają, oficjalnie „wielkość“ cechuje.

przypisała rzeczy niemożliwej: brakowi historii.

Historyę posiada ono — i to wcale wyraźną, ale odmienną od dziejów wszystkich obecnie istniejących lub do istnienia pretensyę mających państw w Europie. Nie powstało ono ani na torowanej przez Normanów drodze zdobywczej, ani na narodowej — jak Polska — obronnej; nie poprzedzają też pojawienia się jego legendy i podania bajeczne. Założył je bezwiednie w IV ery chrześc. wieku robotnik z Ankony, kamieniarz, rodem Dalmata, imieniem Marin, który przejęty duchem ascetyzmu chrześcijańskiego, osiadł na pobliskiej górze Titano w pustelni i szeroko światobliwością życia zasłynął. Kościół go do grona świętych wliczył. Po śmierci jego pustelnie się mnożyły. Z nich powoli wytwarzała się osada pod inwokacją świętego, w końcu imieniem jego nazwało się znane od wieku VI miasteczko, którego nazwę przybrało następnie w górach ukryte, lasami osłonięte, małe państwo — państwo niepodległe — państwo gmina.

(D. n.)

Z. Miłkowski.

ALBERT SOREL.

W końcu czerwca zmarł w Paryżu uczonej dużej, niecodziennej miary, wzorowy obywatel, miłujący całym sercem swą ojczyznę, wreszcie człowiek nieskazitelny, o mocy ducha wielkiej i sercu tklivem.

Ocena systematyczna, naukowa pracy uczonego wymaga czasu i chłodnej równowagi ducha. Na razie, pod wpływem smutnej wieści, pragnąłbym nakreślić trochę wspomnień o człowieku, trochę wrażeń odniesionych z dzieł jego i z rozmów z nim prowadzonych.

* * *

Urodzony w r. 1842 w Honfleur, małym nadmorskim miasteczku, spędził Albert Sorel swe lata dziecięce w krzepkiej, zdrowej Normandyi, której piętno legło na postać jego, wyniosłą, silną, męską, osmaloną wiatrami morskimi, ze wzrokiem, przyzwyczajonym do patrzenia w dal, z tą swobodą ruchów, jaką daje obcowanie z morzem, z przestrzenią. Do szkół chodził w Paryżu — początkowo do Collège Rollin, potem na wydział prawny. Karierę swą rozpoczął w dyplomacyi. Przed rokiem 1870 był sekretarzem ambasady w Berlinie. W Zgromadzeniu Narodowym 1871 roku należał do biura prezydyalnego, w roku 1876 otrzymał nominację na generalnego sekretarza senatu i na stanowisku tem pozostał do śmierci. Proponowana mu parokrotnie najwybitniejsze stanowiska ambasadorskie w dyplomacyi francuskiej, — odrzucił wszystkie propozycje, oświadczając, że pragnie nieść ojczyźnie służbę na polu nauki.

Gdybym chciał zawrzeć w jednym wyrazie komentarz do zrozumienia postaci ducho-

wej Sorela, użyłbym wyrazu „pogrom“. Rok 1870/1 był rzeczywiście punktem wyjścia w rozwoju myśli i uczuć Sorela.

Młodość swą przeżył Sorel w przyjaźni z najwybitniejszymi umysłami Francji z epoki drugiego cesarstwa, rozpoczął rokującą świetną karierę dyplomatyczną, życie jego rozwijało się spokojnie i normalnie — gdy nagle przyszedł nieoczekiwany, nagły, wszystko druzgoczący pogrom, wojna domowa, republika wprowadzona zrazu siłą faktu, potem większość jednego głosu, bez siły przekonania i entuzjazmu, wprowadzona nie jako zwycięstwo zasady, lecz jako stwierdzenie bankructwa dotychczasowego systemu.

To wszystko przeżył Sorel z blizką.

Widział rozkład Francji, odczuwał konieczność jej ratowania, odrodzenia moralnego, duchowego, wreszcie politycznego, a nie mógł dojrzeć dość sił do pracy twórczej w kraju wyjałowionym, tracącym spójnię narodową. Ogarniała go obawa, czy po klęsce wojennej nie nadejdzie gorsza klęska ducha, czy rozwój rozkładowych przekonań nie zacznie odrywać od jedności narodowej dusz obywateli tak, jak siła zbrojna niemiecka oderwała prowincje od jedności państwowej.

Umysł Sorela pragnął przede wszystkim zbadać przyczyny tego pogromu, zwrócił się do dokumentów tej strasznej wojny i ze studyów tych powstała dwutomowa *Historia dyplomatyczna wojny francusko-pruskiej 1870—1871 roku*, która zwróciła uwagę świata uczonego na młodego jej autora.

Kto wie, czy nie jest bliskie prawdy przypuszczenie, które opieram na kilku słowach, wypowiedzianych przez Sorela w jednej z długich naszych rozmów, że chęć poznania tego nieubłaganego, żelaznego zwycięzcy w okresie kształtowania się jego sił i wpływów skierowała dalsze jego studia ku XVIII stuleciu, rezultatem czego była „*Kwestya Wschodnia w wieku XVIII (Rozbiór Polski i traktat kajnardżyjski)*“.

Rozbiór Polski, to jeden z epizodów wielowiekowej kwestyi wschodniej, ta jej faza, gdy rywalizujące ze sobą mocarstwa spotykają się tak silnie, że, aby uniknąć starcia, zmuszone są się porozumieć. Jest to zarazem chwila załkowania się i zaokrąglenia Prus, chwila wkroczenia dawnego lennika Polski do szeregu monarchów najwpływow szszych Europy.

Kreśli w dziele swem Sorel historię dyplomatycznych zabiegów, not, starań z mistrzostwem artysty i ścisłością matematyka; dyplomata łączy się w wywodach książki z filozofem i moralistą. Subtelna ironia Francuza chłoszcze niemiłosiernie autorów owej smutnej karty historii; dokonana przez Sorela analiza potężnego w następstwa faktu dziejowego wykazuje, że istotną przyczyną rozbioru było starcie się interesów Rosyi, Prus i Austrii, interesów, które pobudzały Rosyę, do posuwania się ku Europie i ku morzu Czarnemu, Prusy — do rozszerzania swych posiadłości i łączenia ich w jedną całość, Austrię — do ciągłego powiększania się, aby nie być zduszoną przez sąsiadów. Rosya nazywała to misją cywilizacyjną, Prusy — historyczną, Austrię — polityczną: wszystko to były tylko słowa. Aby nieść wątpliwą cywilizację do Turcji, musiała Rosya zniszczyć olbrzymie ogni-

sko cywilizacji europejskiej w Polsce; historyczna misja Prus prowadziła Prusy do zabicia historii potężnego narodu; polityczna misja Austrii — była pogwałceniem wszelkich zasad polityki legitymistycznej starego porządku. Rywalizacja tych trzech mocarstw europejskich zmusiła je wreszcie do zawarcia między sobą sojuszu, lecz sojusz nie usunął przyczyn rywalizacji. Do kwestyi wschodniej dodał kwestię polską. Ci, co podpisali traktaty, obalające tron polski, byli nieświadomą awangardą rewolucji, która zachwiała ich tronami. Przyczyny podziału Polski tkwiły na zewnątrz bardziej, niżli wewnątrz. Nawet moc jej i potęga mogłyby upaść pod naciskiem tych zewnętrznych parć, nawet słabość jej i rozprężenie mogłyby jej nie zgubić, gdyby układ sił politycznych Europy był inny.

Trzeba czytać książkę Sorela, żeby zrozumieć, ile jest w niej mocy, ile współczucia zdrowego (nie zaś sentymentalizmu) dla losów Polski. Może echa roku 1870 brzmiały Sorelowi w duszy, gdy pisał o Polsce. Może te same echa podsunęły mu pod pióro zdanie o niemocy traktatów, w których zapoznano słusność, o dziejowym odwiecie prawa nad siłą.

Raz zwrócone w kierunku XVIII wieku studia Sorela szły coraz dalej. W dniach upadku i niemocy państwa francuskiego snąc pociągała go epoka niemal legendowa Francji, kroczącej na czele Europy, Francji niosącej wysoko sztandar nowych ideałów, przed którymi korczyły się umysły, i sztandar zwycięstw, przed którymi kapitulowały niezwyciężone dotąd oręża. I poczęło się w umyśle Sorela dzieło wielkie, „*Europa i rewolucja francuska*“, w ośmiu tomach, owoc iście benedyktyńskiej pracy dziewiętnastoletniej, dzieło olbrzymiego talentu, przenikliwego historycznego, artyzmu literackiego, nagrodzone dwukrotnie przez akademię francuską nagrodą Goberta.

Szerokie tło obrazu, szeroka akcja.

Wieki poprzedniej historii Francji przygotowały grunt dla haseł rewolucji; zaczęła się ona szerzyć zrazu we Francji, potem starła się z Europą. W starciu tem padł stary porządek Europy, zmieniły się jednak i hasła rewolucji. Każdy naród przyswoił je sobie, lecz każdy uczynił to inaczej. Zasady rewolucji francuskiej abstrakcyjne, ogólnikowe, rozpow szechniały się z łatwością wszędzie, ale właśnie dla tego też ulegały one wszędzie tak znacznym zmianom. Filozof lub matematyk tylko może zachować pewne formuły w ich pierwotnej czystości. Tok życia zmienia formuły i rozkłada je: każdy, kto chce je stosować w życiu, utożsamia się z niemi, a przyswajając je sobie, zmienia ich treść i charakter. Dyalektyka obcą jest olbrzymiej masie ludzi. Nie przyjmują oni idei, jako zasady, według której mają myśleć, biorą ją jako formę, w którą wrzucają zmieszane wszystkie instynkty, uczucia, wiadomości, przesady, błędy, jakie nagromadziły w nich ich niedostateczne wychowanie, ich nie zrównoważona obserwacja, wpływy rodziny i kraju. Chemik analizuje powietrze, otaczające ziemię, i rozkłada je w formuły, naród oddycha tem powietrzem, i stosownie do ustrojów, jakie ono zawiera, stosownie do organów, przez jakie ono przechodzi, niesie powietrze to ludziom, — febrę lub zdrowie.

Czysty rozum nie istnieje ani dla polityków, którzy się rządzą rozumem stanu, ani dla narodów, które się kierują swymi namiętnościami. Istnieją jednak dla narodów, tak jak i dla ludów, tradycje, tak stare jak ich historia, ponieważ wypływają one z tego samego źródła, co i historia, i toczą swój potok równoległe do fal historii. Wpływ tych tradycji na umysły jest zupełnie instynktowny i o tyle więcej stanowczy, że umysły nie spodziewają się bynajmniej, że mu ulegać będą. Jednak w wypadkach nagłych, jakimi człowiek bywa zaskoczony, nie znajduje on w sobie innej pomocy, innych środków i czy chce czy nie chce, czy zdaje sobie z tego sprawę, czy nie wie o tem, czy poddaje się temu, czy chce się uwolnić, ulega on wpływowi pojęć wyrobionych i uczuć panujących w nim i w jego środowisku. Mając już te pierwiastki w sobie, uświadamia on dopiero nowe idee i usiłuje je wcielić w życie.

Tak też i rewolucja francuska, która była według jednych obaleniem, według innych zaś odrodzeniem starego ustroju Europy, była jeno wynikiem naturalnym i koniecznym historii europejskiej; nie wydała ona nic takiego, co nie wypływało by z przeszłości dziejowej i co nie mogłoby znaleźć wytłumaczenia w faktach poprzednich dawnego ustroju.

Rewolucja francuska sprowadziła w życiu społecznym przygotowywane oddawna wyzwolenie jednostki, w życiu politycznym ogłosiła zwierzchnictwo ludu, grożąc wszelkim władzom narzuconym, wzywając ludy do zrzucenia jarzma. Chaosowi rewolucyjnemu przeciwstawiła Europa swój dawny ład i porządek, i oto zaszedł fakt zdumiewający: anarchia jęła się organizować, dawny ład i porządek rozkładać. Francja uzbrojona dla obrony granic swych, przekracza je dla tem skuteczniejszej ich obrony, przenosi walkę na sąsiednie terytoria, lecz w szumie swych proporców zwyciężskich niesie nie tylko obronną ofiarności dla ojczyzny i krzyk wielki nowych idei, niesie też chrzest miecza i łuny pożogi, równoległe z podbojem ducha idzie i podbój terytoriów dla tem skuteczniejszej obrony dawnych granic. Krucjata europejska, dzięki zwłaszcza wypadkom w Polsce, kończy się porozumieniem między władzami starego ustroju i władzami Rzeczypospolitej, kończy się podziałem terytoriów. Zasada rewolucji paczy się. Skutki dają się odczuwać. Zogniskowano twórcze, bojowe siły rewolucji w wojsku, wskrzeszono Rzym dawny. Rzym zrodził nowego Cezara. Napoleon—to dalszy ciąg rewolucji, dostosowującej się do otoczenia. Dawni członkowie komitetów zbawienia publicznego zostają książętami i hrabiami, krewna zaś Maryi Antoniny łączy swe losy z rewolucyjnym następcą tronu francuskiego.

A dalej zwycięskie wojska napoleońskie obnoszą w orłach legii ideały rewolucji, rozpowszechniają je po Europie; uczeni szerzą je słowem i drukiem. Ludy rozumieją je, przykład Francji r. 1792 działa. Zwierzchnictwo ludu—to wolność narodu, to nowy kierunek historii, to czynnik narodowości w życiu politycznym, to zmiana karty Europy, nowe granice i nowe państwa—to przedewszystkiem walka z Imperjum francuskim.

Budzą się ludy, idzie powrotna fala ide-

arów rewolucji, tym razem przeciw Francji i sprowadza ją do dawnego łożyska.

A ludy pozostają uzbrojone, jeszcze nawpół świadome siebie, lecz z dojrzewającą już swolną świadomością—aby przez całe stulecie walczyć o wyzwolenie narodów.

A Polska, zamykając swym rozbiorem okres dawny, pierwsza rozpoczyna nowy okres—dążenia do wolności narodu, jako narodu.

„Wszystko jest nadzwyczajnem, jeżeli się patrzy tylko na przyczyny bezpośrednie, a jednak wszystko posuwa się w kolejnym porządku”—powtarza Sorel za Bossuetem—należy tylko znaleźć dość odległy punkt widzenia, aby uchwycić tę dziejową perspektywę faktów.

Tę perspektywę odnalazł Sorel. Odsłonił tajniki architektoniki dziejowej, a przez to przyczynił się bardzo skutecznie, narówni z Tainem, do obalenia legendy rewolucyjnej na rzecz historii rewolucji. W rewolucji nie widzi Sorel, śladem Lamartine'a, objawienia nowego zakonu społecznego, danego ludzkości przy grzmotach burzy wojennej, jak wśród błyskawic i grzmotów dano objawienie na górze Synaj; rewolucja to nie jest zamknięcie jednej epoki i rozpoczęcie nowej, zupełnie odrębnej; to nie jest jakaś odrębna, sama w sobie, moralność i filozofia,—nie, rewolucja w studium Sorela—to jeden z epizodów historii Francji przedewszystkiem, tłumaczący się jedynie przeszłością państwa i narodu, epizod o doniosłości europejskiej, szczytny, ale wrosły korzeniami w dany ustrój i z niego czerpiący soki żywotne dla wspaniałej laurowej korony w którą się rozrósł. A jeżeli rewolucja nie jest objawieniem, to zasady jej nie są metafizycznymi dogmatami, jeno hasłami, do których wszelkie zastrzeżenia miejsca, epoki, ludzi stosowane być winny.

Analiza Sorela sięga przeto daleko. Dalej może niż dysekcja Taine'a. W pracach Sorela drga jednak więcej serca, więcej miłości do rewolucji, jako karty historycznej kraju ojczystego, więcej wczucia się serdecznego w prądy i kierunki, w myśli i uczucia epoki.

O metodzie swojej, zresztą, powiedział kiedyś Sorel, że do obserwacji zjawisk społecznych i politycznych, dzieł natury ludzkiej, należy stosować te same sposoby obserwacji, porównania, krytyki, jakimi rozporządza nauki przyrodzone: dać się powodować faktom,—oto jedyny sposób, aby je obserwować; zrozumieć je w ich powikłaniu, odkryć ich prawa—oto jedyny sposób, aby panować nad nimi; lecz przytem nie wolno nigdy zapominać, że fakty te są czynami ludzi, czynami dusz ludzkich, dusz pełnych namiętności, niskich, szlachetnych, kochających, cierpiących, dusz nam bratnich, że przeto badanie w tej dziedzinie winno być połączone z sympatią, i że jeżeli fakty, jak mówią, pozostają brutalnymi, to uczony winien być miłosiernym.

Na tem szerokim tle dziejowem i na tym szlachetnym podkładzie historycznym roztacza się w dziele Sorela barwna charakterystyka postaci, gra ludzi i wypadków, szczerza i głęboka prawda. Dotyka Sorel i Polski, a czyni to w sposób ściśle naukowy, a zarazem owiany miłością dla kraju, który autor ukończył może dla podobieństwa położenia z ojczyzną swoją, może dla tego, że biło dla narodu polskiego serce Sorela w młodzieńczych la-

tach jego i że wzruszeniom tym pozostał on wierny przez całe życie.

Poza dziełem pomnikowym o rewolucji, napisał Sorel *Studium o generale Hoche*, oraz wydał w atomy *Szkiców historyczno-krytycznych*, tom *Czytań historycznych* i tom *Studyków literackich* i historycznych, oraz, wraz z Franciszkiem Funck-Brentano, *Zarys prawa ludów*.

Wszystkie te dzieła noszą na sobie wybitne piętno metody Tainowskiej, pogłębionej jeszcze przez autora, zawierają głęboką znajomość przedmiotu, bystrość obserwacji, siłę argumentowania, wytworność i przejrzyistość stylu i głębię filozoficzną.

Takimi też były wykłady Sorela w paryskiej szkole nauk politycznych. Widział on w tej szkole nie tylko uczelnię, lecz i kuźnię dusz współobywateli, oraz rozsądnik myśli francuskiej na świat cały. Wykładał w szkole historię dyplomacji europejskiej od rewolucji francuskiej do roku 1870, a w wykład wkladał nie tylko swe poglądy historyzoficzne lecz i obywatelskie.

Miał Sorel w sobie, płynący ze stwierdzenia socjologicznego faktu istnienia narodów, kult narodu, indywidualności narodowej, wypływającą z obserwacji historyczno-socjologicznej wiarę w narodowość, jako czynnik cywilizacji, miał wreszcie głęboką miłość swojej ojczyzny, szacunek dla uczuć tych u innych.

Był on patriotą w stylu wielkim. Historia, jak to zaznaczał niejednokrotnie, nauczyła go, że kult ojczyzny nie jest kultem boga ukrytego, boga nieznanego. Kult ojczyzny jest niczem, jeżeli nie jest miłością boga żywego, będącego w każdym z nas, wokoło nas. Jest niczem, jeżeli ojczyzna jest abstrakcją, formułą, choćby to była wspaniała formuła jakowejś algebry społecznej; jeżeli wyobraża tylko gród opuszczony, ziemię wyjałowioną bez zagonów i bez mogił; jeżeli ta ojczyzna niematerialna, stworzona przez każdego z nas na nasz obraz i podobieństwo, dla naszego użytku, według naszych ideałów, stosownie do doktryn, chęci, ambicji, interesów każdego z nas, oddziela się od ojczyzny rzeczywistej, tej Ojczyzny ziemi i ludzi, aby unieść się w przestrzenie, jak balon, który ucieka ku pustce; jeżeli chępiąc się, że kochają swą ojczyznę, obywatele kochają ją tylko w swej utopii, w swej miłości własnej, a nie kochają ją w tem, w czem jedynie może być ona poznana i kochana: w bliźnich swoich, w swych ojcach i przodkach wspólnych. Ażeby jednak tak kochać, trzeba się znać, trzeba miłować, zrozumieć siebie nawzajem, trzeba się czuć częścią jednej wspólnej całości. Na to potrzeba tolerancji, nie tej, która jest zaparciem się swych przekonań, jeno tej, która jest poznaniem przekonań innych. Tolerancja taka nie jest indyferentyzmem moralnym, tak jak gościnność, która czyni zaszczyt narodom, nie jest kosmopolityzmem, który je rozkłada.

Trzeba rozumieć i czuć, że narody trwają przez swą chęć życia i przez swą siłę kochania, i że jakiegokolwiek trwałe i olbrzymie byłyby pomniki kamienne wznoszone przez narody na cześć i sławę swoją, to jednak jedynie nikła forma cielesna, wiecznie odnawiana w pokoleniach, nie boi się kataklizmów, urąga nawet śmierci, utrwała rysy i charakter przod-

ków i łączy się, wiecznie odmienna, a zawsze ta sama, z nieśmiertelnym duchem, który ją ożywia.

Oto czego uczył Sorel swych uczniów.

Przypominał on im też, że francuzi winni wymawiać imię Polski z wielkim wzruszeniem i głęboką wdzięcznością. — Nie mówiąc już o niciach starej przyjaźni, jakie zawsze te dwa narody łączyły, nie zapominajcie—mówił—że Polska dwa razy kraj nasz od srogich nieszczęść narodowych, a może od zupełnej zagłady wybawiła. Pamiętajcie zawsze te dwie tak dla Polski nieszczęśliwe daty: rok 1792 i 1830“.

W dzień przybycia pary monarszej do Paryża wykładał Sorel, zbiegiem okoliczności, o Polsce. Nastrój chwili, upojenie aliansem, wniosły do spokojnej atmosfery szkolnej trochę nerwowości. Gdy Sorel wyraził się, że rozbiór Polski był zbrodnią, ozwało się lekkie szemranie.

„Historia nie zna kompromisów chwili, rzucił z katedry Sorel. Kto chce działać nerwami, niech idzie na ulicę. Ja przypomnę zaś wam, panowie, że gdy wojska sprzymierzone ratowały nas przed Napoleonem I w roku 1815, to niańki i matki francuskie straszły potem małe dzieci francuskie kozakami. Dla polityki chwili nie wolno wam zapominać o tem, co nie przemija: o sprawiedliwości dziejowej i odwecie prawa nad bezprawiem“.

Nie pytał nigdy Sorel słuchaczy na egzaminach o fakty, dotyczące historii ich własnego kraju. Nie chciałbym, mawiał, czynić sobie przykrości, a panom wstydu, gdybyście mi na te właśnie pytania przypadkiem odpowiedzieć nie mogli.

Ostatni raz widziałem się z Sorelem w grudniu r. z. Odwiedziłem go w szkole, w gabinecie, przez który przesunęło się tylu żądnych rad i wskazówek jego uczniów. Zmęczony był i trochę niezdrowszy, z zajęciem jednak wielkiem rozpytywał się o to, co w kraju naszym się działo, zwłaszcza o sprawy szkolnictwa polskiego. Widzi pan, mówił, ja wierzyłem zawsze w wasze zwycięstwo. Źle mówię, toć to i moje zwycięstwo — to zwycięstwo tej idei, która stanowiła treść mego życia.

W tej zacisznej, serdecznej, duchem prawdziwej wiedzy przesiąkniętej atmosferze szkoły nauk politycznych nastąpiło zapoznanie się Sorela z Sorelem.

Nie należał Sorel nigdy do ludzi rozgłoszonych we współczesnym, kramiarsko-reklamarskim stylu. Nie miał on prasy wzmiankarskiej, nie miał reklamy rozdymanej zasługi, siedł przez życie pracą cichą, spokojną, wytrwałą — nie mógł przeto rozgłos o nim przedostać się do prasy naszej, informowanej zwykle nie przez sumienną obserwację zjawisk życia obcego, lecz przez powtarzanie wrzasków i kramarstw prasy zagranicznej. To też przez czas długi było o Sorelu głucho w Polsce. Nawet *Kwestya Wschodnia* pozostała przez lat dziesiątki nieznana społeczeństwu polskiemu, któremu dostarczano jednak przekładów „dział“ Goremykina, Miakotina i t. p.

Polska zaznałomiła się z postacią Sorela dzięki bezpośredniemu zetknięciu się z nim,

jako profesorem, młodzieży naszej, studyującej w szkole nauk politycznych w Paryżu.

Było to w ostatnim dziesiątku ubiegłego stulecia.

Głęboki przewrót, jaki się dokonywał w układzie i poglądach społeczeństwa naszego, wpłynął na skierowanie się studyów młodzieży polskiej do nauk historycznych, literackich, społeczno-ekonomicznych, prawno-politycznych.

Ogniskami tych studyów były przeważnie: szkoła nauk politycznych w Paryżu, Berlin, uniwersytety: Lwowski i Krakowski. Między młodzieżą studyującą w Galicyi i zagranicą nawiązywał się ciągły i trwały stosunek osobisty i naukowy, odbywała się ustawiczna wymiana wrażeń osobistych i naukowych, na ustach zaś młodzieży polskiej, studyującej w Paryżu, znalazło się wielokrotnie wymówione imię Alberta Sorela.

To nie przypadek, że sprawa wydania *Kwestyi Wschodniej* w polskim przekładzie została poruszona na jednym ze zjazdów młodzieży, wydanie zaś jej przeprowadziła młodzież galicyjska.

Zjawily się w prasie artykuły o Sorelu, jubileusz wszechnicy Jagiellońskiej do tytułu członka Krakowskiej Akademii Umiejętności dodał mu doktorat honorowy tej wszechnicy, tu Sorel został członkiem korespondentem Muzeum Narodowego w Rapperswyłu.

Cóż było w Sorelu takiego, co go czyniło tak droгим młodzieży polskiej?

Po tem, cośmy o nim opowiedzieli, nie będzie chyba dziwną dla nikogo ta fala miłości serc młodzieńczych, jaka ku niemu płynęła. Utrwalał on w sercach i umysłach szeroki, nowoczesny, demokratyczny kult ojczyzny odrodzonej i wolnej. Zespalał ich w tych dążeniach i wierzeniach z najlepszymi tradycjami europejskiego życia umysłowego, wznosił dusze wysoko po nad doczesne, poziome dążenia, a jednocześnie skierowywał je do ojczyzny realnej, rzeczywistej, prawdziwej.

I gdy się czyta cytowane wyżej zdania jego, mimowoli staje w myśli Staszyc, głoszący, „że upaść może naród wielki, zginąć tylko nikczemny“, Asnyk, wskazujący Polsce, że „musi jednak być inną, choć zawsze tą samą“ i te wszystkie wskazania myśli polskiej i ducha polskiego, które stworzyły współczesny światopogląd nowego pokolenia naszego.

To pokrewieństwo uczucia i myśli wiązało Sorela z Polską.

Dlatego też pamięć jego nietylko wśród francuzów żyć będzie. W polskim zaś społeczeństwie, sądzę, znajomość Sorela będzie wciąż rosła, aż stanie się on jednym z popularniejszych pisarzy u nas.

Wiktor Krypski.

Z TYGODNIA.

Zaprzeczono ze strony niemieckiej pogłoskom o interwencji, ale różne wieści na ten temat umilknąć nie chcą, a przysłowie mówi: niema dymu bez ognia. Dym ten

wydobywa się nawet ze szpalt dzienników, nie uganiających się nawet za sensacją. Niedawno wystąpił z ciekawymi rezolucjami *Journal des Debats*, a *Nowoje Wremia* poświadczyło im cały artykuł wstępny. Według dziennika paryskiego, który zapewnia, że informacje swe czerpie z najwiarogodniejszych źródeł, cesarz Wilhelm oddawna chciał wciągnąć do akcji interwencji swego sprzymierzeńca i tylko cesarzowi Franciszkowi Józefowi zawdzięczać należy, że interwencja nie nastąpiła. Zresztą w tym wypadku dyplomacya berlińska pokrywała swe zaborcze plany trochę o zasady monarchiczne i o porządek społeczny: cesarz Wilhelm chciałby wskrzesić tradycje Świętego Przymierza pomiędzy trzema rządami cesarskimi. Cesarz Wilhelm miał grozić wyraźnie bagnietami niemieckimi na wypadek autonomii Polski lub na wypadek przymusowego wywłaszczenia baronów nadbałtyckich. Artykuł wymienionego dziennika zapewnia, że wyprawy karne w prowincjach nadbałtyckich nastąpiły na wyraźne żądanie Berlina, że odnośne rokowania toczyły się pomiędzy obu dworami z pominięciem nawet ministrów spraw zagranicznych. W sprawie rozwiązania Dumy — tak zapewnia anonimowy autor — decydującą rolę odegrał nacisk z Berlina w formie rady, połączonej z dość przejrystymi aluzjami. *Nowoje Wremia*, podając powyższe rewelacje dziennika paryskiego, przyznaje im prawdopodobieństwo i ubolewa nad tem, że sfery urzędowe pokrywają to wszystko tajemniczem milczeniem, zamiast wyjaśnić ogółowi choćby nawet smutną i upokarzającą prawdę.

Stolypin chce pozyskać kilku wybitnych działaczy społecznych i ofiarować im teki ministeryalne. W liczbie ich najczęściej słyhać nazwiska Heydena, Lwowa i Gučzkowa. Zdaje się, że pertraktacye idą nieszczęśliwie, że cała ta kombinacya rozchwije się i że skończy się na gabinecie biurokratycznym. Prasa kadecka odgraża się, że działacz społeczny, któryby się zgodził otrzymać z rąk Stolypina tekę, tam samem wykreśliłby się z grona prawdziwych przedstawicieli społeczeństwa. Organy tej partii odrzucają jakakolwiek myśl kompromisu z gabinetem i dają wyraźnie do zrozumienia, że obecnie jak przed 30 października konstytucyjni demokraci pójdą razem z rewolucjonistami. Dzienniki zbliżone do rządu jak *Nowoje Wremia* zaznaczają z zadowoleniem, że rozwiązanie Dumy nie wywołało żadnych zaburzeń. Optymizm przedwczesny; niewielu chyba było takich, którzy przypuszczali wybuch natychmiastowy. Nie ulega wątpliwości, że partye skrajne przygotowują się do czynu i ich odezwy antistrajkowe dowodzą tylko, że nie chcą sił swych przed czasem rozpraszać. Co się zaś tyczy zwykłych codziennych objawów anarchii jak akty terroru, morderstwa i rabunki, to te idą dalej wcale nie zwolnionem tempem. W ostatnich dniach zaszły nowe wypadki niesubordynacyi lub nawet buntu w wojsku. Żywiolowe tedy wrzenie w całym państwie wcale nie gaśnie, a rozwiązanie izby niewątpliwie popchnie rewolucjonistów do wywołania zaburzeń zorganizowanych. Prezes obecnego gabinetu, który jako minister spraw wewnętrznych bezpośred-

nio mieć będzie z ruchami rewolucyjnymi do czynienia, za pośrednictwem swojej prasy oraz wywiadujących się dziennikarzy, oznajmia, że rewolucji się nie lęka i że nie da się zaskoczyć wypadkom. Stołypin ma opinię dobrego administratora i energicznego człowieka; Witte oświadczył niedawno, że jest to najodpowiedniejszy premier.

Zdenerwowanie społeczeństwa, spowodowane wypadkami dwóch lat ostatnich, zaczyna przybierać rozmiary wprost potworne. Już nie tylko huk wystrzału, ale głośny okrzyk lub najmniejsze zamieszanie wystarczają, aby tłumy rzuciły się do panicznej ucieczki. I co najsmutniejsza, niema na to rady. Ludność spokojna, skutkiem nakazów i utrudnień policyjnych, została rozbrojona rewolwery zaś, oprócz „bojowców” rozmaitych partii, posiada każdy nieledwie złodziej i opryszek. Jak świadczy choćby sobotnie zajście w ogrodzie Saskim, nikt u nas istotnie nie może być pewnym swego życia. Jakiś „pan z rewolwerem” strzelał tam przecież, biegnąc z tłumem, na lewo i na prawo, i nie pytał przytem z pewnością, czy ci ludzie komu kiedy w czemkolwiek zawinili. Życie ludzkie wogóle straciło wszelką cenę. Istnieje i działa „Towarzystwo opieki nad zwierzętami”, a nie założono jeszcze „Towarzystwa opieki nad ludźmi”. Załatwienie rachunków przekonaniowych i partyjnych przy pomocy rewolweru coraz więcej uchodzi w użycie, a wszelki rozlew krwi roznamiętnia i rodzi żądzę odwetu, jak to było np. przed paru dniami w Pabianicach, gdzie za zamordowanie robotnika narodowca zabito we własnych mieszkaniach czterech socjalistów. Należałoby się już chyba opamiętać, należałoby pomyśleć o innych sposobach walki. Nawoływanie w imię uczuć humanitarnych nie zda się tu naturalnie na nic. Ale poważnym argumentem powinna być obawa przed reakcją, jaka obudzić się może w łonie samego społeczeństwa. Straciliby na tem dużo nie tylko kierownicy i winowajcy obecnej anarchii, o co zresztą mniejsza, ale i te idee postępu i rozwoju społecznego, pod których sztandarem występują dziś wszyscy.

Niezależnie od Macierzy Szkolnej powstało u nas Stowarzyszenie kursów dla analfabetów dorosłych. W naszych warunkach każda nowa instytucja, mająca za zadanie szerzenie światła, jest szczególnie pożądaną. Wyrażając jednak z tego powodu szczególne zadowolenie, nie możemy powstrzymać się od paru uwag, jakie nasuwa nam ustawa Stowarzyszenia. Paragraf trzeci tej ustawy powiada: „Językiem wykładowym jest język polski. Na życzenie uczniów, którzy oświadczą, że nie jest dla nich język polski dostatecznie zrozumiały, wykłady i pogadanki mogą być prowadzone w ich języku ojczystym”. Otóż punkt ten nasuwa pewne wątpliwości. Twórcy ustawy mieli tu prawdopodobnie na myśli ludność żydowską, zamieszkali bowiem w naszym kraju Niemcy, i Rosjanie i Litwini, o ile pielęgnują własne deały narodowe, pozakładają lub pozakładali już stowarzyszenia całkiem odrębne, i z usług naszej instytucji ko-

rzystać dla zrozumiałych względów nie zechcą, o ile zaś zespolili się już z kulturą i ideałami polskimi, to i kwestya języka wykładowego nie nastręczy żadnych trudności. Inna rzecz z ludnością żydowską. Ściśle rzecz biorąc, nie tworzy ona dotychczas narodu i jest tylko odrębną grupą wyznaniową i plemienną, w jednym odłamie—wytwarzającą sobie obecnie właśnie odrębne ideały narodowe (syoniści), w drugim—spolonizowaną, w trzecim—zrusyfikowaną, w czwartym wreszcie, najliczniejszym, nie posiadającą dotychczas określonego poczucia narodowościowego. Gwarantując—w paragrafie trzecim ustawy—tym najliczniejszym Żydom wykłady i pogadanki choćby w żargonie, twórcy ustawy nie mieli chyba tego na względzie, że utrudnić mogą przez to ogromnie zespolenie Żydów ze społeczeństwem miejscowem, do wykładow bo wiem w żargonie będzie można powołać jedynie Żydów ortodoksalnych lub Żydów syonistów (Żydzi postępowi, jak wiadomo, żargonu nie znają i nie uznają). Czy zaś tacy nauczyciele powstrzymają się od wpajania w swych uczniów takiej np. tezy, że prawdziwy postęp polega na wyodrębnieniu Żydów ze społeczeństwa miejscowego? Czy zarząd Stowarzyszenia kursów dla analfabetów dorosłych może zaręczyć, że tak dziać się nie będzie? I czy nie lepiej byłoby w tym wypadku łączyć zamiast wyodrębniać? Naszem zdaniem wystarczyłaby w paragrafie tym wzmianka, że „językiem wykładowym jest język polski”. Nauczyciele i tak w razie potrzeby mogliby udzielać objaśnień w językach obcych, o ile naturalnie samiby je posiadali. W obecnej zaś redakcyi paragraf ten może wywoływać tylko objawy separatyzmu i w dalszej konsekwencji—psuć robotę Stowarzyszenia. Poza tym punktem ustawa opracowana jest bez zarzutu. Dobre zwłaszcza wrażenie robi ustęp z artykułu pierwszego: „Stowarzyszenie stoi na stanowisku bezpartyjnym i z działalności jego wszelka polityka jest wykluczona”. Dbać jednak będą musieli o to członkowie Stowarzyszenia, aby tak było naprawdę.

Dokonane w ubiegłym tygodniu trzy wielkie napady i rabunki kolejowe: pod Celestynowem, Częstochową i Włochami, zasilily kasę tej organizacji socjalistycznej, która je urządziła, pokaźną sumą 197 tysięcy rubli. Siłą rzeczy rodzi się pytanie: na jaki użytek pójdą te pieniądze? Odrzucamy z góry hipotezę zmarnotrawienia tego grosza przez osoby prywatne. Partya, głosząca walkę o ideały wolnościowe, inne niezawodnie przeznaczenie nada zdobytym kosztem dwunastu trupów pieniądзом. Gdy rozpoczynał się współczesny okres rabunków politycznych w naszym kraju, dawały się wówczas słyszeć głosy, że „zdo byte” w sklepikach monopolowych pieniądze, idą na cele nadchodzącej rewolucji. W miarę zaś, jak perspektywy rewolucyjne szarzały i bladły, publiczność zaczęła być informowaną drogą poczty pantoflowej, że „łup” idzie na poparcie „walki z rządem”. W jaki zaś sposób ujawnia się ta walka z rządem? A no—za pomocą dalszych rabunków. Gdy rabowano kasy pocztowe i sklepiki monopolowe, szeroka, t. zw. poczciwa publiczność mówiła

sobie: „W tem coś jest, pieniądze muszą być im potrzebne na jakieś poważne cele, zaczekajmy tylko chwilę“. Ale po małych rozbojach przyszły większe i nic ponadto. Gdy rozeszły się wieści o zrabowaniu kas powiatowych w Opatowie i Wysokiem Mazowieckiem, „pocziwy“ ogół pytał już tylko: I cóż potem? Ale potem przyszły znowu tylko rabunki: tu pięć, tu dziesięć, tu pięćdziesiąt tysięcy. A cogo tem? Potem będzie znowu to samo. I zapewne iść tak już będzie wszystko aż do tej chwili, gdy kasy prywatne i rządowe w naszym kraju przestaną nęcić napastników, bo będą — puste. Gdy kraj zrujnowany zostanie doszczętnie, gdy upadnie przemysł, handel, rolnictwo, gdy zejdziemy poniżej poziomu Turcyi lub Bulgaryi, wówczas dopiero socjaliści opamiętają się i — wezmą się do pokojowego propagowania swoich idei. Nie chcemy twierdzić bynajmniej, że tak będzie, ale — tak być może.

Bezrobocie garbarzy zostało zakończone. Fakt to sam w sobie wielce ważny dla naszego przemysłu. Dla nas jednak szczególne znaczenie ma jego strona zewnętrzna, zarówno przebieg jak i samo zakończenie. Bezrobocie wybuchło przed trzema mniej więcej miesiącami. Układy, prowadzone przez obie strony, dawały szanse szybkiego zakończenia zatargu, wdali się w to jednak nieproszeni opiekunowie naszego ludu roboczego, socjaliści, i od razu walkę zaostrzyli. W ciągu trzech miesięcy garbarnie stały pozamykane. Robotnicy przymierali głodem, ale socjalistyczny komitet strejkowy nie pozwalał, pomimo to, na porozumienie. Sytuacja zaczęła grozić robotnikom niesłychaną katastrofą. Wówczas grono robotników zwróciło się do Narodowego Związku robotniczego o zajęcie się sprawą strajku. Skoro tylko delegaci Związku wzięli się do dzieła, sprawa posuwać się zaczęła naprzód szybkim krokiem. Komitet strejkowy socjalistyczny ujrzał się wkrótce zmuszonym złożyć swe mandaty. Wkrótce zaś potem stanęła umowa między fabrykantami a pracownikami, którzy uzyskali 5 proc. podwyżki, i od poniedziałku wszystkie garbarnie znowu w ruch zostały puszczone. Taki jest suchy szkielet tego zatargu, będącego ciekawym i wymownym epizodem naszych dziejów współczesnych. Wszędzie niemal u nas dzieje się to samo: każdy zatarg ekonomiczny socjaliści usiłują natychmiast rozdmuchać w wielki pożar społeczny lub nawet polityczny. Cierpią na tem oczywiście interesy fabrykantów, ale więcej jeszcze cierpią sami robotnicy, najbardziej zaś — kraj cały, w którym życie nabiera zaczyna wyglądać coraz bardziej chorobliwego. Przeciwdziałanie anarchii ze strony czynników narodowych wywiera już niezawodnie wpływ poważny na rozwój stosunków w kraju. Lecz niedość na tem: życie normalne nie może powrócić, dopóki szeroki ogół nie poprze zgośnie czynionych w tym kierunku usiłowań.

Że stosunki angielsko-niemieckie są nie szczególne, to wiadomo oddawna, ale ci, którzy w obecnej polityce Albionu chcieliby się doszukiwać chęci zbrojnej rozprawy z nowym współzawodnikiem, muszą doznawać rozczarowania na widok niewątpliwie pokojowego

nastroju Anglików. Parlament obradował właśnie nad budżetem marynarki. Na wniosek rządu porobiono znaczne redukcje. Przedstawiciel gabinetu zaznaczał z zadowoleniem, że Anglia wyprzedziła wszystkie państwa w budowie pancerników najnowszej typu, że za lat parę tylko ona posiadać będzie tego rodzaju statki i że warsztaty angielskie żadnym innym prześcignąć się nie pozwolą. Wobec tego może Anglia pozwolić sobie na pewną oszczędność w budżecie. Prawdopodobnie argumenty te są zupełnie słuszne, niemniej wszakże jest to symptomat pokojowego usposobienia obecnego rządu i parlamentu. Jednocześnie w prasie znowu ukazała się pogłoska o projektowaniu spotkania cesarza Wilhelma i króla Edwarda.

U W A G I.

Prawda w ostatnim numerze w ciekawy sposób określa obowiązki naszej delegacji w przedstawicielstwie rosyjskiem.

„Że posłowie polscy nie zdobyli nam autonomii, tego im nikt nie wymówi, bo zdobyć jej nie mogli, ale że nie pozyskali dla niej opinii rosyjskiej, że nie usympatyzowali naszej sprawy w przekonaniu stronnictw najbardziej wpływowych, że ona dzięki im stoi gorzej, niż przed zebraniem Dumy — to trzeba policzyć za błędy i przewinienia, dające się usprawiedliwić tylko ich niedołęstwem.“

To „usympatyzowanie (pozostawiamy ten nowotwór językowy na odpowiedzialność autora) naszej sprawy w przekonaniu stronnictw najbardziej wpływowych“ (*sic*) mogłoby nas zaprowadzić daleko. Przedewszystkiem bowiem należałoby się wtedy zapytać, czy istotnie kadeci są siłą więcej wpływową niż n. p. rząd biurokratyczny, i po stwierdzonej porażce opozycji rozpocząć umizgi do biurokracji. Nie dlatego Polacy powinni byli podać rękę kadetom, że ci byli najwplywowsi, bo co do tego już dawno można było mieć wątpliwości, ale dlatego, że byli oni jedynym stronnictwem rosyjskiem, które rezolucjami w sprawie autonomii uznało *minimum* naszych aspiracji narodowych w Państwie Rosyjskiem. Co warte były owe rezolucje, uchwalone na zjazdach moskiewskich okaże dopiero przyszłość, ale tylko szarlatan, nieprzebierający w środkach faktor kadetów twierdzić może, że sprawa autonomii stoi dzisiaj gorzej niż przed zebraniem Dumy. Jeżeli w umysłach i rzeczywistych zamiarach kadetów stoi ona gorzej, to znaczy, że nigdy nie stała zbyt mocno, że rezolucje moskiewskie były manewrem agitacyjnym. Nie po raz pierwszy przedstawiciele narodu naszego łączą się do walki przeciw wspólnemu wrogowi z opozycyjnymi partiami rosyjskimi, stuletnie dzieje porozbiorowe aż nadto dostarczają nam ostrzeżeń co do zbytnej ufności w opozycyjne partie zarówno niemieckie, jak i rosyjskie. I dlatego więcej niż lekkomyślnością byłoby przekazywać bez zastrzeżeń sprawę polską w Państwie Rosyjskiem wspaniałomyślności kadetów, ciężkim występkiem byłoby zrzucać się roli samodzielnego przedstawicielstwa polskiego i oddać stronnictwu rosyjskiemu ster polityki polskiej.

— ≡ Ogłoszenia. ≡ —

Nowość!

ODDZIAŁ CHEMICZNY SZKOŁY Z RZEMIO-
SŁAMI, **F. BORYSŁAWSKIEGO**, na Woli Nr. 24,
rozpowszechnił swój nowy wynalazek chemiczny,
mydło w proszku do prania białizny „Postęp.”
Proszek ten jest tańszy od zwyczajnego mydła,
daje oszczędność na opale, czasie, dezynfekuje
białiznę i chroni ją od niszczenia się. Jeden
funt zastępuje 3 funty najlepszego mydła.

≡ Żądać wszędzie. ≡

Stanisław Miller

dawniej **F. JARECKI**

W WARSZAWIE, KRAK.-PRZEDMIEŚCIE 62.

(gmach Tow. Dobroczynności)

Skład specjalny Obrazów i Książek religijnych,
Krzyży, Medalików, Wyroby złote, srebrne, bron-
zy. Figury z kamienia, gipsu i terrakoty, Ramy
i listwy. Sprzedaż hurtowa i detaliczna.

CENY NAJNIŻSZE.

ZAKŁAD

Jubilersko-Grawerski

MONOGRAMY, HERBY, ŻETONY,
BIŻUTERYĘ ZŁOTĄ

tanio wykonywa

Jan Nagórski

ŻÓRAWIA 21 — parter.

**Pralnia Chemiczna dywanów i Farbiarnia, Zakład Che-
micznego czyszczenia**

wszelkiej garderoby Damskiej i Męskiej, bez
prucia takowej, sztuczna cerownia oraz zakład
KRAWIECKO-REPARACYJNY

JAN KOZAKIEWICZ syn w Warszawie,
Niecała Nr. 10.

Wszelkie sukna, syberyjny, korty, flanele zestpu-
je się najpraktyczniejszym sposobem w krótkim
czasie. * Portyery, Firanki aksamitne, jedwabne,
wełniane i koronkowe, Dywany, Obrusy i Serwety,
Meble i t. p.

Za czystość rzeczy nieodebranych w swoim czasie
firma odpowiada do miesiąca.

Dziennik Kijowski

PIERWSZE CODZIENNE POLSKIE
PISMO POLITYCZNE NA RUSI,
wychodzi w Kijowie od 1 Lutego 1905 roku.

Warunki prenumeraty:

w Państwie Rosyjskiem: Rocznie rb. 8,— półrocznie rb. 4.50,
kwartalnie rb. 2.50, miesięcznie 85 kop. Zagranicą: Rocznie
rb. 14,—, półrocznie rb. 7,—, kwartalnie rb. 4.

Prenumeratę przyjmuje: Administracja, Kijów, ulica
Proreznia (Wasilczykowa) 9.

Ogłoszenia przyjmuje: Administracja Dziennika i p.
St. Orłowski, Kijów, ul. Luterńska 6.

Wyszedł z druku:

Regulamin obrad

opracowany przez

MARYANA LUTOSŁAWSKIEGO.

Skład główny: GEBETHNER i WOLFF.

Bolesława Schoen-Wolskiego

Z MIŁOŚCI DO SWOICH

z przedmową K. Laskowskiego

❖❖❖❖❖ CENA Rub. 1. ❖❖❖❖❖

Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa.

w Ł o d z i

**„Myśl Polską” prenumerować oraz pojedyncze numery naby-
wać można w filii „Dzwonu Polskiego”,
Piotrkowska 8.**